

Zakupione

D. K. Antykw.  
Nauk. w Krakowie  
dla

Miejskiej Biblioteki Publicznej  
im. Waryńskiego  
w ŁODZI

124459 10.11.1965

Własność. Marszałka.

Własność. Marszałka.



**ŻYWOŹ**

**KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO**

SKRĘŚLIŁ W POWIASTKACH

*Lucian Sieniński.*



**H. DOŁKOWSKI**

**KENTY**

**KRAKÓW**

Czcionkami drukarni Czasu przy ulicy Szczepańskiej Nr: 369.

**1851.**

884-09



Kiedy był młodym, mówili starzy:  
Czego nam drogę zachodzi  
I o czemsi nowém marzy?—  
Kiedy się starzał, wołali młodzi:  
Czemu on z drogi nie schodzi,  
I, stare rzeczy nam gwarzy?—  
On, w starości, jak za młodu,  
Pełnił, co kazał duch święty;  
Żył, i działał dla narodu,  
Jemu, sobie, niepojęty.

BRODZIŃSKI.

## URODZENIE I MŁODOŚĆ KAZIMIERZA.

---

Wież Królówka, niegdyś należąca do starostwa lipnickiego, dziś do bocheńskiego obwodu, w powabnej rzućena okolicy; ożywia ją szeroki staw, rozległe murawy rzędami lip wysadzone; za nimi pasmo wzgórz z rozsianymi chatami, gęste sady i chmielniki, które z dala wydają się oku jak winnice. Dolinę wyścieła łąka z wzbierającą często rzeczulką przez którą wąskie kładki prowadzą do kościółka na wzgórk, niezmiernie malowniczego, bo najpiękniejsze drzewa ocieniają go. Bliziej stawu, poważny staroświecki wznosił się dworzec, z narożnikami, jakby przypominał obronny zamek; z włoskim ogrodem o długich grabowych czy bukowych szpalerach, bukszpanowym wirydarzu, jakby na przekór nieregularnym, ale poetycznym widokom sielskiej okolicy. W dworcu tym przy-



szedł na świat r. 1791 **Kazimierz Brodziński**. — Dziecina słaba, wątłej budowy ciała, odjęła rodzicom nadzieję że się wychowa; tém więcéj, gdy miejscowy lékarz przepowiadał zaledwo tydzień życia. Ale cóż znaczą przepowiednie, kiedy losy nasze **Bóg** trzyma! — chłopie chowało się szczęśliwie, skacząc na grobie tego samego lékarza, który po wróżbie uczynionéj dziecięciu, sam nieprzeżył tygodnia.

Ojciec **Kazimierza** trzymał starostwo **Lipnickie** od hr. **Fryderyka Moszyńskiego**; **Królowka** była wioską należącą do starostwa; był to sobie człowiek staréj daty: pobożny, uczciwy, miłosierny dla chłopów, lecz nadzwyczaj miékkiego charakteru, dający łatwo się opanować; z tego też powodu mało dbał o dobro i wychowanie dzieci, których było pięcioro. Po śmierci pierwszéj żony, a matki **Kazimierza**, przeniósł się do **Lipnicy**, sławnéj urodzeniem błogosławionego **Szymona Bernardyna**. Tak więc **Kazimierz** osierocony wcześnie, bo zaledwo pięć lat liczył, niezaznał nawet pieszczot rodzonéj matki; w późniejszym wieku zostało mu tylko w pamięci wyobrażenie o téj świętéj istocie,

tęsknota za matczyną pieszczotą, a tém samém wyższe jakieś uszanowanie dla każdéj kobiety co była matką. Piékné to uczucie maluje w jednym ustępie swoich wspomnień: „Do znanéj matki tęsknimy w całym życiu, jak do ziemi, na którój się nasze życie rozwijaé zaczęło; o nieznanéj marzymy, jak o raj, lub o świecie obiecany; a nagradzamy ją sobie, tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie“. Chłopié tkliwe, delikatne, potrzebujące pielégnowania; piersi, gdzieby słyssało uderzeń serca dla siebie, miékkiej dłoni, któraby przytuliła, pogłaskała i łzę otarła — ogołoczone z tego nieba dziecięcego świata, musiało wyrósć nieśmiałe i bojaźliwe do ludzi, bo nieczuło nad sobą opieki; smutne, dumające i zamknięte w sobie, bo niebyło ani przed kim się poskarżyć, ani o pociechę prosić.... A cóż dopiéro jeżeli zamiast istoty tkliwéj, berło rządów domowych obejmie sroga, nieczuła na płacz i niedostatek sierot macocha?! Taki to los dotknął młodociane lata **Kazimierza**. Po śmierci pierwszéj żony, ojciec, przeniosłszy się z **Królowki** do murowanéj **Lipnicy**, aczkolwiek w podeszłym wieku, posta-

nowił szukać powtórnej małżonki. Człowiek mającyny i uchodzący za gospodarza znalazł ją łatwo. Była to panienska młoda, ładna, ale uboga. Skromna i pokorna z początku, prędko wzięła górę nad słabym starcem, i stała się pysznym aniołem, zamieniając cały dóm, niegdyś tak cichy, w piekło. Własne słowa Kazimierza odmalują ją najwierniej: „W przeciągu kilkunastu lat stała się postrachem, nie tylko domu, ale całej wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo obok najgwałtowniejszych passyj, brak wszelkiej znajomości świata, obok wielomówności; chciwość robienia majątku niegodziwymi sposobami, obok chęci okazałości, duma na swój ród, od którego była nienawidzoną, były to jeszcze lekkie jej niedostatki. Perj ody jej wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furji piekielnej; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głośnie, jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole śpiewając łacińskie psalmy, myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończyło powszechnie bolenie serca, i pleura,

w której krzyk na całą wieś się rozlegał. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia go niby nazawsze, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy“.

Pod okiem takiej kobiety rozwijały się pierwsze chwile życia małego Kazia, oraz trzech jego braci i najstarszej siostry, nad którą ojciec tyle miał przecież litości, że ją wysłał do krewnych. Zdałoby się że wszechwładne panowanie tak okrótniej macochy, mogące złamać nawet męża z dojrzałym charakterem, powinno było wyrzucić wpływ najgorszy na czworo sierot: zaprawić młode ich serca nienawiści jadem, zaszczepić wszystkie złe nałogi i występki, stłumić każde uczucie szlachetne i wzniosłe; słowem, potwory wychować nie ludzi. Tymczasem Opatrzność zrządziła inaczej; zesławszy swoich aniołów — stróżki kazała im strzedz sierocych główek, kierować ich krokami po kolezystej i zawidej drodze życia, i służyć im skłonnie do pojmowania jeżeli nie głosu świata, bo dla nich ludzkiego głosu prawie nie było, to głosu jaki przemawia do niewinnej duszy z nieba mrugają-

cego gwiazdami, z łąk ubrylantowanych rosą, z kwiatów ziejących woń, głosu ptaszków śpiewających modlitwę poranną, głosu grzmiącego w obłoku, i głosu serca w pieśni prostego pastuszka. Złe życie ludzi gorszącym staje się przykładem; piękna ziemia, niezepsute dzieło rąk boskich, nikogo zgorszyć niemoże. Pan Bóg oddał sieroty na wychowanie prostej naturze i prostym ludziom jak ona. Na szczęście, jakaż to powabna okolica tej murowanej Lipnicy, jaka z niej uprzejma mistrzyni! Dworek mieszkalny leżał w dolinie otoczonej niewielką rzeczką, która z góry spadając za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistym łożu u podnóża gór i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty rozrzucone na górach między sadami czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku, była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica zarosnięta krzewem i wysokimi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptastwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką, napełniał łośkotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiej-

skich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych; a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty, zdawały się być granicą ziemi. Dziecie, w domu przesładowane, bite, wypychane do izby czeladnej, mogło nieprzyłgnąć do tych cudów malowanych ręką Stwórcy, kiedy one przytulały je w upały cieniem gęstego krzaku, bawiły grą swych barw, karmiły poziomką lub jeryzną, czasami złotym owocem jabłoni, a zawsze swobodą, tym najdroższym skarbem cenionym zarówno przez małe chłopię, jak starca! Kazimierz od dzieciństwa znał całą wartość sielskiej wolności, używał też jej, używał swojego świata, jak nigdy potem. Zabrawszy znajomość z wiejskimi chłopcami, żył z nimi brat za brat, już to hasając na małych koniach prowadzonych na paszę w dalekie dąbrowy, już pluszcząc się czasu gorąca w piaszczystej krynicy, już, kiedy głód dojmował (w domu nikt niemyślał czy jadły sieroty?) robiąc wyprawy na owocowe sady, gdzie dościgłe wiśnie lub gruszki nakarmiły i napoiły go razem. Twardy ten żywot, na wolnem

powietrzu, prawdziwie koczowniczy, zahartował wątłe ciało; kto wie, czy przy zwykłych pieszczotach, wygódkach, i chuchaniu z jakim wychowują się panięta, byłby wytrzymał dziecięce choroby, i zniósł tyle trudów jakie w dalszym ciągu lat swoich przebywał? Ale nauczywszy się zawczasu dosiadać pierwszego lepszego konia złapanego na błoniu, znosić mróz, niepogodę, upał, głód; prześcigać się do mety; wykonywać ciężkie prace rolnicze, jak: iść za broną, cepem wywijać, lub zgiąć się nad sierpem — nabył siły, czerstwości zdrowia, świeżości myśli, że potem, kiedy przyszły mozolne chwile nauki, zahartowane ciało, niedało się prędko strawić temu ogniewi ducha, który zwykle tak prędko trawi istoty naznaczone znamieniem poezyi. Niedar mo byłyto najmiłsze jego wspomnienia w dojrzłym wieku! kto taki skarbiec uzbierał za młodu, chociaż czucie w nim stępieje, zimny rozsądek weźmie górę, dość z tej kryjówki zaczerpnąć, aby odmłodnić i roić po wiosennemu.

Opisując romantyczne położenie wioski Lipnicy, pominąłem jeszcze jedną stronę obrazu; albowiem o kilka staj pokazywało się miasteczko, murowana

Lipnica, z trzema starożytnymi kościołami; droga wiodła do niej wysadzona wierzbanami i bliższa ścieżka przez łąkę i cmentarz. W życiu Kazimierza miasteczko to gra nie poślednią rolę. Obojętny ojciec i surowa macocha, przypomnieli sobie narzeczcie że dzieci powinny się uczyć, że sama natura nie jest dostateczną mistrzynią; ale z drugiej strony, niekłopotąc się ani o wybór dobrej szkoły i dobrych nauczycieli, użyli, co było pod ręką. Owóz Lipnica miała swoją szkołę elementarną; do niej więc posyłało Kazimierza wraz z bratem. Od tej chwili zaczyna się dlań bolesne starcie ze światem i ludźmi; ucieczka w pola i dąbrowy, pozycie z dziećmi wieśniaków, chroniło go od okrócieństw macochy; teraz i tej swobody pozazdrozczono sierocie. Gdyby przykre uczęszczanie do szkółki przez ulewy, zasy py śniegowe, z kawałkiem chleba i masła na cały dzień, wynagradzała mu przynajmniej dobrze udzielana nauka, do której miał pociąg, gdyby ją podawała łagodność nauczyciela — byłoby wszystko mu znośnem; ale darmo! trafił biedak jak mówi przysłowie: z deszczu pod rynnę. Posłuchajmy jak sam kręśli



obraz straszego pedagoga: „miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie, fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastém czole szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. Długa, wyszywana kamizelka i surdut po kostki, z klapami przy boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony, przy pedanckim i powolnym chodzie jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe, panowały przeważnie nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jej ciekłą figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie różgi w cebrzyk wodą napełniony składała..“ — Wizerunek ten skreślił Brodziński prawdziwie *con amore*, z żywą pamięcią męczennika szkolnego. W tym piekielnym przybytku nauk spędził trzy czy cztery lata — i nie się nienauczył, prócz cokolwiek czytać i pisać po polsku i po niemiecku; — bo też o naukę najmniej szło szanowne-

mu pedagogowi: różgi tylko, i wszędzie różgi! za krucyfiksem, który wisiał w izbie szkolnej, pozatykane różgi; w rękę różga, na każdym miejscu różga, miasto nauki ciągłe chłosty, klęczenie z wyciągniętymi i spuszczone rękami; płacz, jęki, rozlegające się na całe miasteczko, albo też śmiechy puste i swawole, kiedy nauczyci i pełniący razem urząd pisarza magistratu powołany do jakiej czynności, zostawiał dzieci na wolę bożą.... Szczęściem było dla Kazimierza, że mógł z sobą robić co mu się podobało: — wyszedłszy ze szkoły, nie miał potrzeby wracać do domu, gdzie nikt o niego nie pytał ani się troszczył; biegł też bując z wiejskimi chłopaki: oprócz zwykłych rozrywek, znalazła się tam dla niego i nauka, piękniejsza, żywiej obchodząca serce młode, niż szkolny katechizm po niemiecku którego nierozumiał, a który go zawsze na nieochybnie plagi narażał. — Pod jesień, w czasie kopania kartofli zbierali się pastuchy pod lasem; puściwszy bydło na wygon, rozkładali ogień na całą noc, a poobsiadawszy w koło, jakby kocujące Arabi, piekli w gorącym popiele kartofle, dla uprzyjemnienia bankietu i skrócenia długiej nocy, opowiadając

sobie bajki o królewnach i królewiczach, zaczarowanych zamkach, dowcipnych figlach djabła, i dowcipniejszym chłopie, który djabła oszukał.... Umysł Kazimierza tak poetycznie usposobiony musiał pełnemi piersiami wciągać w siebie te pierwiastki poezji gminnej, te pierwiastki wszelkiej poezji, które go potem, gdy wszedł w świat sztucznej poezji i literatury, pędziły zawsze odmienną drogą, ku odkryciu tych źródeł z których czerstwość i moc bierze narodowy żywioł. —

W ciągu tych niewinnych, wieśniaczych zabaw przeplatanych piosenkami i bajkami, w których szkoła była tylko przykrym rozdźwiękiem psującym pogodną harmonię myśli i uczuć wychowawca gór, pól i lasów — jakieś niewyraźne pojęcie praktyczności, jakaś żądza obrania sobie powołania, zaczęła pukać do duszy młodzieńczej.... Ale jak myśli i uczucia w tym wieku podobne są do tych przelatujących po niebie obłoczków, tak i zachęcenia bywają przemienne i fantastyczne. Umysł dziewicy przyjmuje łatwo wrażenie. Toż i Kazimierz, zabiera przyjaźń z synem jednego garncarza, widzi jak ojciec i syn garnki lepią; i rzemiosło ich, naj-

kunsztowniejsze z wieśniaczych rzemiosł, zachwyca go; próbuje raz, drugi — talent się odzywa, i już pragnie zostać garncarzem; stary wieśniak znalazłszy tak pojętnego ucznia, nieodradza, owszem, mówi mu, z głęboką filozofią prostego rozsądku: lepiej ponoś swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która cię po śmierci ojca niechybnie z domu wypędzi. —

Uspodobienie wyższe, poetyckie, niedało mu zapewne przywiązać się do garncarskiego rzemiosła, w którym tak z razu upodobał sobie; tém więcej, że uległ nowemu wrażeniu silnie porywającemu młodą wyobraźnię, ukazującą mu świat i ludzi w nieznanych rysach i barwach. Czasu zimy, drobna garstka sierót wygnanych z rodzicielskiego domu, zwykle tuliła się w chacie karbowego, grzejąc zziębnięte członki przy kominkowym ogniu, a serce przy powieściach starca. Karbowy był wysłużonym żołnierzem i rad rosprawał o pięknych krajach włoskich i francuzkich, gdzie chleb biały jadał i wino pijał; żona zaś jego, niegdyś dworka sługująca u wielkich panów, rozwijała przed nimi życie pałaców, opisując festyny, zabawy, stroje,



bogactwa.... Małemu marzycielowi tego też było trzeba, aby ów tajemniczy świat za górami wydał mu się rajem, za którym zaczął tęsknić i przemyśliwać jakby doń polecieć. Rzecz pewna, jak sam wyznaje, gdyby mu w tenczas wpadł był do rąk Telemak, nieby go niewstrzymało od szukania przygód na szerokim świecie. Szczęściem prócz komeniusza i elementarzy, nie znał innych książek; mimo tego stał się smutnym, zadumanym, rojąc z powieści starca historję swojej *Odysei*. Nieraz wylazłszy na wysoki dąb, przeglądał widokrąg jak daleko okiem zasięgnąć; w mgle szarzejaczej już widział prawie te zamki i pałace, które miały przyjąć i ugościć błędnego paladyna. Z nadchodzącą wiosną — Kazimierz ułożył plan do wycieczki; brat młodszy miał mu towarzyszyć, a stary karbowy być przewodnikiem i Mentorem. Mentor, człek doświadczony, z góry zrobił uwagę, że bez grosza puszczać się niemożna. Trzeba więc, pieniędzy; ale zkąd ich wziąć? Mentor dał radę, aby się dobrali do ojcowskiego sepeta gdzie miedziaki składał, i tam opatrzyli się na drogę. Chłopczy nabrali trzygroszniaków co się zmieściło — Mentor je zabrał,

poszedł na jarmark, gdzie hulał i pił przez dwie niedziele. Cała sprawa wydała się i poszła przed sąd ojcowski, który karbowemu natarł uszu, a dzieci skarcił.... Wiemy z pamiętków *Fr. Karpińskiego*, że w dzieciństwie zapalił się był do życia pustelniczego; chciał osiąść gdzie w niedostępnym boru, zbierać korzonki i żołądz; lub ponieść męczeństwo za wiarę. To samo uczucie owładło *Brodzińskiego*. Acz wychowanie jego było zaniedbane, jednak atmosfera religijna ogrzała go. Od najpierwszych lat zwyczajną zabawą dzieci było odprawiać mszę, celebry, mówić kazania, stroić jasełka, spiewać kolendy i hymny kościelne, tę jedyną znaną im poezję, która mając tyle wzniosłości, musiała porywać. Religija obrzędami swemi, silnie wpływała jeszcze na umysły; duch przeczenia i mędrkowania nie owiał młodych głów, więc też całą prostotą wiary przywiązywały się do tych poetyczno-chrześcijańskich ceremonii, które mianowicie w zaciszu wiejskiem, stawały się ważnym życia wypadkiem, a tém samém celem wzdychań i zabiegów, aby w nich udział otrzymać. Boże Ciało, Matka Boska Zielna, a szczególnie dni Krzyżowe, kiedy pro-

cessyje obchodziły rozrzucone po górach kapliczki; a jeszcze bardziej wilia Bożego Narodzenia pełna cudów, gdy o dwónastej w nocy przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy siankiem potrząsano stoły i podłogę, wszystkie te uroczystości napełniały młode serce jakąś tajemniczą poezją, pokazując jako najwyższy cel życia, poświęcenie się służbie bożej. Tą drogą wiary i zbawienia szła ludzkość w wiekach średnich, i z źródła tego czerpała wielkie swoje natchnienia na takie wyprawy do grobu Chrystusa, na takie katedry zdumiewające dziś ogromem i sztuki mistrzostwem. Brodzińskiego młodość spędzona wśród prostego wieśniactwa, skąpała się jeszcze w tych religijnych promieniach; wrażenie musiało być silne kiedy umiał je zapielegnować i w szeregach armii napoleońskiej, i na ławach uczonych niedowiarków stolicy. Na umysł tak usposobiony pierwsze lepsze potrącenie musiało potężny wpływ wyrzucić. Lipnica stawiała mu żywy niejako przykład; wszak w niej urodził się błogosławiony Szymon, który tylą cudami zasłynął; miejsce samo po którym święty chodził, przemawiało tak silnie; a cóż dopiero gdy między starymi szpargały napadł na

Żywoty śś. polskich! Odtąd krył się tylko po naj-niedostępniejszych zakątkach, połykając te opisy prac duchownych, dobrowolnych cierpień, męczeństw, cudów... Cuda! I ja chcę robić cuda! wykrzykło nieraz nawałem wrażeń wezbrane serce... i roiło o klasztornej sukience, o biczowaniu, postach, gorących modłach i o słodkiej śmierci męczeńskiej gdzie w Indyjach, lub Japonii...

Tymczasem chłopak doszedł lat jedenastu; ojciec mało dbały, przypomniał sobie nareszcie że czas, aby Kazimierz coś więcej umiał, jak to, czego mógł nauczyć professor z harcopen... Do szkół więc! do Tarnowa! — Pożegnajże miłe góry! pożegnaj towarzyszy uciech dziecięcych! Łąki gdzieś na konikach hasał; cieniste drzewa pod którymiś tyle przemarzył — i tę wolność, której już nigdy niedoznasz... Świat cię woła, ciasny, przewrotny, zmądrzały, posępny, brukowany i błotnisty...

1065.13

## LATA SZKOLNE KAZIMIERZA.

Dziecku, wychowanemu w górach, wśród prostoty wieśniaczej, bez wyobrażeń o ludziach i życiu miejskiem, okropnym musiało się zdawać to przejście w ten świat zepsucia, brudu, bezowocnej a nudnej nauki, i tych ograniczeń, tak przeciwnych duszy co wybujała na swobodzie. — Tarnów był najbliższym miasteczkiem; ojciec zawiózł go tam wraz z starszym bratem Andrzejem i oddał go do szkół. Na wszystko zimny starzec, trzymając się tylko litery zwyczaju, sądził, że ulżył sumieniowi i dopełnił obowiązku rodzicielskiego kiedy synów do szkół oddał i płacił za jadło i pomieszkanie. Mógł potem z chlubą powiedzieć o sobie: albowiem niewychowałem dzieci?! albowiem nieponiosłem tyle fatygi i kosztów? niech tego inny ojciec dokaże! — Okoliczni zaś sąsiedzi podziwiając talenta i piękne przymioty takiego pana Andrzeja, lub Kazimierza, powtarzają chórem: to mi to ojciec! jak pięknie synów wy-

chował! — Z takich to pozorów wyrabia się zwykle opinia u ludzi. Kto wie, możeby i starego Brodzińskiego otoczyła opinia takim wieńcem rodzicielskiej miłości, możeby i jemu winszowano pociechy z pana Kazimierza — ale niedoczekał jej, bo też obojętnością swoją nie zarobił na tę szczytną nagrodę. Przywiózłszy synów do Tarnowa, oddał ich w ręce pierwsze lepsze co się nawinęły; ma się rozumieć za tanie pieniądze. Była to naprzód jakaś wdowa, podupadła, ograniczona, a pyszna z swego rodu szlachcianka, chełpiąca się jakoby pochodziła z domu xiążąt Spicimirów. Synowie jej również napojeni dumą, zwietrzywszy, że szlachectwo Brodzińskich było cokolwiek podejrzone, ciągłemi dokuczali im przymówki; co więcej, rospuścili to w szkole, a namówiwszy sobie partję dopominali się publicznie, aby *de* dodawane do ich nazwiska w katalogu, wymazanem zostało. Prześladowani tak dotkliwie, z całą uporczywością rospusty studenckiej, chronili się oba z bratem za miasto, w odludne pola, gdzie przynajmniej w obliczu cudów bożego świata, nikt im nie śmiał wyrzucać, że się urodzili bez herbu.

W takich to urapieniach spędzili dwa lata. Ojciec ulitował się, i dał ich na mieszkanie do jakiegoś krawca. Tu już nie było pychy rodowej ale zły przykład, nędza i pijaństwo. Pan majster więcej patrzący szynkowni niż warsztatu, przepijał ostatni grosz a niekiedy własne ich sukienki zastawiał dla dogodzenia swemu nałogowi. Tym sposobem nieraz po kilka dni niechodzili do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwa nieszczęśliwej żony, i skwiérk dzieci...

Ktoś ojcu doniósł o smutnym stanie synów; starzec się zmiarkował, przyjechał, wziął ich i oddał na stancję do kancelisty foralnego, rodem Węgry. Tutaj znowu inny obyczaj: po pierwszym każdego kwartału, gdy ojciec ratę zapłacił a on pensyję odebrał, w domu dobrze jeść, pić, wszystkiego do zbytku; pani kanceliścina lubiła wystawę — ale zwykle nie na długo starczyło — bo pod koniec, głodno i chłodno... Ow Węgier, hulaszczą sztuką, jeżeli nie w kancelaryi, to cały czas siedział u żyda na miodzie, lub winie — a że dziwnym sposobem upodobał sobie Kazimierza, więc go też z sobą ciągnął do szynku, gdzie zgłodniały chłopczyzna

mógł się dorwać kawałka bułki dawanéj na przekąskę dziwiąc się, jak mogli ci panowie pić, nie jedząc. Przez cały ten ciąg szkolnego terminowania, jeździli kilka razy na wakacje do domu, gdzie było coraz gorzej i smutniej. Jak w mieście, tak i na wsi, nie mieli przytulic się do kogo: tam szorstcy nauczyciele, złośliwi spółucznie, gospodarze pijacy; tu macocha furyatka, zaglądnająca często do butelki, zmuszała ich uciekać w odludne pola. Widać że opatrność tak chciała aby ludzie nic im niedali, a wszystko dała natura, ta mistrzyni, częstokroć tak niebezpieczna, jeżeli na grunt serca nie padło światło religii. Szczęście dla nich a mianowicie dla Kazimierza, że obok prostéj natury znalazł prostą a gorącą wiarę ludu, obyczaje patryarchalne, uczucia niewinne.

Starszy brat Andrzej, ukończył był nauki gimnazjalne w Tarnowie, przeniesiono go więc na uniwersytet do Krakowa. Kazimierz towarzyszył mu, uczęszczając do drugiej klasy gimnazjalnej. Tu znowu powtórzyła się dawna historia ze stancyami. Umieszczeni u stolarza, nie tylko że znosili niewygody i głód, ale jeszcze przy każdym obiedzie



byli świadkami jak małżeństwo, w nienajlepszej żyjącej zgodzie, ciskało na siebie łyżki i talerze. Rzemieślnik prędko przehulał wzięte pieniądze za jadło i pomieszkawie; — chłopcy obdarte, zgłodniałe, bez przytuliska wzbudzili w jakimś obcym człowieku litość, który znając zamożność ojca, umieścił ich przy ulicy ś. Anny, w porządnym domu, gdzie znaleźli i dobry przykład i wygodę, i towarzysztwo przyzwoicie wychowanej młodzieży.

Kazimierz, jak sam powiada, nieczytał dotąd żadnej prawie książki polskiej, nauki zaniedbywał, tylko jedne ćwiczenia łacińskie dobrze pisał, niewiedząc jakim sposobem. Najmilszym jego zajęciem było zbieranie i zasuszanie ziół, w czem wielką miał łatwość w częstych wycieczkach w romantyczne okolice Krakowa. O pamiętkach zaś historycznych, których to miasto pełne, najmniejszego nawet nie miał przecucia, co pochodziło ztąd, że nigdy żadna historia polska nie wpadła mu w ręce. Ojciec nawiedził ich, i gospodarzowi zapłacił. W krótkce jednakże doszła wiadomość, że już nieżyje. Starzec ten sześćdziesięcioletni — jak powiada Brodziński — lubił nosić się starannie po polsku;

był powolny, milczący, i wtenczas się tylko do dzieci odzywał, gdy na pożąkanie zasłużyły. Objętny, nieczuły nawet jako ojciec, względem drugich, mianowicie wieśniaków był najlepszym panem. Sprawiedliwy, rozsądny, taką miał u chłopków miłość i poważanie, iż na pogrzeb do kilku tysięcy się zeszło. Widać, że strach przed żoną, która nieco przed tem w jednej jego niebezpiecznej chorobie, gdy robił ostatnie rozporządzenie wpadła była w zapamiętałą furję, wstrzymał go, od przywołania dzieci, i zrobienia jakiego na ich korzyść zapisu — albowiem trzy miesiące upłynęło, a do biednych sierot nie zgłaszała się żadna żywa dusza. Gospodarz u którego stali, niepłatny, wymówił im mieszkanie. Cóż było robić? Starszy Andrzej zaczął wprawdzie pisać u adwokata, ale tak mało zarabiał, że nietylko młodszego brata, ale i siebie niemógł wyżywić. Kazimierz niechcąc mu być ciężarem, rada w radę postanawia puścić się do macochy i jeżeli nie u niej, przynajmniej u sąsiadów szukać pomocy. Dawna nawyczka do życia koczowniczego skłoniła go do tego kroku. Uszywszy sobie potajemnie torebkę z prześcieradła,

sprzedawszy żydom starą czapkę, spakował studenckie manatki, i dalej przez pola i lasy puścił się o osiem mil do miejsc rodzinnych. Wycieczka ta zdawała mu się istną wyprawą Kolumba. I zaiste, wątłe siły, brak wprawy do podróżowania pieszo zmuszały go do częstych spoczynków, i do wypróżnienia szczupłego tłumoczek, który mu ciężko nieznośnie, tak, że prawie z próżną torbą przyszedł na miejsce.

Stanąwszy w Lipnicy, mającej dla niego tyle wspomnień dziecięcych, z drzeniem serca zbliżał się do dworca; lecz nikogo nie zastał, ani macochy, ani żadnego z czeladzi. Po śmierci ojca, rząd Austriacki zaraz odebrał starostwo, zwłaszcza, że jednocześnie zeszedł ze świata starosta Koszycki. Jedną z niewiast wiejskich poznawszy go, wzięła na noc do swojej chaty. Od niej dowiedział się, że macocha zaarendowała plebanią w Rajbrodzie i tam mieszka w szczerém polu, w domku świeżo wybudowanym. Mąż wieśniaczki ofiarował się zaprowadzić go do macochy. Po drodze wstąpili na cmentarz gdzie był grób ojca. Kazimierz pomodlił się i zapłakał nad swoim sieroctwem. Późem

wieśniak, chcąc ugościć dziecko dawnego pana wziął na piwo i bułki do szynkowni, dokąd się zeszło wiele ludzi; ci poznawszy Kazimierza nuż żałować go, głaskać, częstować wódką i piwem i rozpowiadać wiele o majątku nieboszczyka, rozszarpanym przez urzędników i wdowę.

Przyzwyczajony od lat najmłodszych drzeć przed kobietą gwałtowną i namiętną, która mu zatruła pierwiosnki życia, z bijącym sercem zbliżał się do jej mieszkania; — ale przyjęcie było wcale inne jak się z razu obawiał. Nagła zmiana losu, upokorzenie, chęć zyskania opinii, sprawiły, że mu nieodmówiła przytułku, przynajmniej do czasu, póki opiekun i *Forum nobilium* nierosporządzą losem sierot.

Macocha niedbająca o jego wykształcenie, ani wglądająca w postęпки, zostawiła mu zupełną swobodę. Używał też jej po dawnemu. Pola, łąki, góry, lasy, grające strumyki, powitały swojego wychowanka. Znajdując niewypowiedzianą rokosz w dumaniu, dumał sobie po całych dniach, goniąc obłoczki po niebie, które przybierały najfantastyczniejsze kształty i były niejako ilustracją jego



rojeń, snów i pragnień. Do tych usposobień zapowiadających poetę nie miał żadnej podniety, żadnego potrącenia — gdyby przynajmniej jaki wierszyk, jaka książka wpadła mu do rąk, byłby zdobył sobie narzędzie do wydania uczuć i myśli wzburzających pierś młodocianą. Ale niestety! prócz gramatyki łacińskiej i niemieckiej, nie miał żadnej książki pod ręką. Niemogąc się pomieścić w szczupłym mieszkaniu macochy sypiał na strychu. Słabe światło wglądające dymnikiem widziało go nieraz siedzącego na łożku z gramatyką łacińską, którą męczył nadaremnie, chcąc z niej wydobyć jaki pokarm dla złaźnionego ducha. Szczęśliwy traf posłużył mu więcej niż Alwar. W ciemnym zakątku poddasza rzucony na zapomnienie leżał wór papierów po ojcu. Kazimierz odkrył go, a w nim skarby nieoszacowane. W steku listów, rejestrów ekonomicznych, znalazło się wiele drukowanych mów sejmu czteroletniego, i wierszy okolicznościowych najwięcej na imieniny wielkich panów i króla Stanisława. Pierwszych nierozumiał — drugie zrobiły nań wrażenie, mianowicie te, które wyszły z pod pióra Trembeckiego. Zasiłek ten umysłowy, obu-

dził w nim chęć do pisania wierszy, a przynajmniej wskazał mu *trudną rymowania sztukę*. Teraz już obłoków nie ściagał po błękitcie, ale wśród gąszczy leśnej, czytywał swoje wzory, i podobien pisklęciu, które instynktem wiedzione inne ptaki naśladować usiuduje, układał w rymy wszystko co mu do głowy przyszło.

Ważną tę chwilę w życiu poety oddajmy własnymi jego słowy: „Najczęściej spiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodia naprowadzała mnie na wyrazy. Były to wyrazy tęsknoty za matką, której nieznałem, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiarów słyszanych“. W tym jednym rysie widzimy instynkt talentu zwracającego się na całkiem nowe pole: aczkolwiek wpadły mu w ręce wzory klasycznych naszych pisarzy z wieku Stanisława Augusta, pominął je; uczucie bowiem proste, naturalne, pociągnęło go w świat, w którym się wychował, na który patrzył, w świat poezji rodzinnej, sielskiej. Później kiedy nauką i czytaniem uczynił sobie dostępnymi utwory najznamienitszych poetów, mianowicie niemieckich, nieuronił swego pierwiast-

kowego ideału, przeciwnie rozwinał go i podniósł aż do wysokości takiego *Wiesława*, który w steku płodów ówczesnej muzy zbyt zimnej i utrefionej z francuska, ziawił się jak gość niespodziewany, jak wieniec kwiatów wiosnianych wonnych i świeżych, zdobiący w posępnych dniach grudnia czoło dziewicy. Opatrzność, widać, chciała w nim mieć *S. Jana* poezji narodowej; — ażeby mógł *sprostować ścieszki nasze*. Podobnie, jak jego święty wzór i on żył na pustyni, i tam się uczył poznawać wielkość w prostocie, podsłuchiwać tajemnice serca ludzkiego, w natchnionych niekiedy głosach wyrwających się z piersi wieśniaczek. Szkolna nauka nieczepiała się jego głowy; widok wyższego społeczeństwa zrażał go i mięszał; zato język pól, lasów, wód, gwiazd i obłoków stał się jego przyrodzonym językiem, a czerstwa rzewność piosnek i życia sielskiego, tonem, do którego gęśl swoją nastroił. Wszystko się tak składało w ciągu młodych lat *Kazimierza*, nieszczęśliwych, — jeżeli je zważymy na szali wygód, pieśzcot, przyzwoitości ucylizowanego świata — szczęśliwych, pod względem myśli bożej objawiającej mu się w naturze, i

prostocie wieśniaczek, ażeby w tej szkole wyrobił się mąż narodu umiejący odgadywać tajemnice jego ducha, a tym samym potrafiący struny któreby odgłos w piersi milionów znalazły. Tę nową drogę poetycznego kształcenia się, instynktowie uzupełniał *Brodziński*: z nadejściem zimy, pozbawiony innych środków, biegał wieczorami do czeladniej izby plebana, gdzie parobki i prądki opowiadali sobie bajki i gadki, owe epepeje ludowe: albolitéz zaprzyjaźnwszy się z organistą śpiewał z nim psalmy kościelne, pełne szczytnej poezji dawidzkiej. Odtąd, jak sam wyznaje, marzenia jego zaczęły być nie tylko już poetyckie, ale i religijne; jakoż podwójny ten charakter powstał w nim i odbił się później we wszystkich utworach czy to lirycznych, czy literackich rozprawach.

Pewnego dnia, na wiosnę, kiedy z pękającymi pączkami, silniej zagrały mu w piersi zielone rojenia i tęsknoty, odbiera list od brata *Andrzeja*. Któż jego radość wypowie! List cały był tylko o poezji; pełen owjej młodzięcej exaltacji działającej jak oliwa wylana na ogień; kilka wyjątków z prac poetycznych *Andrzeja*, zawróciły mu głowę do reszty,

a kiedy jeszcze wyczytał, że Andrzej przybył z uniwersytetu lwowskiego i zamieszkał u stryja proboszcza w Wojniczu, że ma tam obfitość książek, że się szczyli zażyłością z księdzem Juszyńskim bibliografem polskim, biedny Kazimierz, dostał prawie gorączki; chciałby mieć skrzydła ażeby polecieć do tych skarbów.... Dla niego Wojnicz był w tedy tém, czém dziś dla artysty, Italia.... Do Wojnicza! do Wojnicza! wołał młody marzyciel, zalewając się łzami śród bezsennych nocy, śród dni przetęsknionych. Ale nikt niezważał na łzy jego, nikt o przyczynę smutku niepytał, sierota nieobchodził nikogo! Zostawiony sam sobie, w sobie szukał pomocy. I znalazł. Obdarty, świecący dziurawemi łokciami, mógłże się tak pokazać w domu stryja gdzie, jak słyszał, goście bywali? Na strychu znalazł liberyjny surdut po lokaju ojcowskim; twórczy umysł nie cofa się przed żadną trudnością; więc i Kazimierz, za pośrednictwem wiejskiego krawca, stworzył sobie wcale przyzwoity tużurek w którym mógł na wielki świat wystąpić. Ksiądz wikary z Lipnicy, poczciwy jakiś człowiek, wysłuchawszy planów chłopięcia, przyrzekł ułatwić mu podróż. Owoż

powiodła się wyprawa. Dano mu konia i przewodnika, i tak, szczęśliwie odbył czteromilową drogę do Wojnicza. Ksiądz stryj, mając na karku czworo jego rodzeństwa, a przy tém wdowę z córką po drugim bracie, przyjął go zimno. „Te dzieci mię zjedzą!“ zawołał i wyszedł na dziedziniec nacisnąwszy duchenkę na uszy, a chodząc mówił do siebie: „sierota! jeżeli nie przytulę, pójdzie w poniewierkę; gdzie gąb kilkoro, pożywi się jedna;“ i kazał gospodyni, aby o nowym gościu miała staranie. Kazimierz, acz go zrazu ubodło powitanie stryjowskie, prędko zapomniał o niem, kiedy się rzucił w objęcia braci i sióstr, a mianowicie, kiedy siostra jego stryjeczna, Szczęsna, równolatka, białe rączki zawieszając mu na szyi wołała: „o mój Kaziu! jakże to dobrze żeś przyjechał! będziemy razem czytywać piękne książki, razem zbierać i zasuszać kwiatki, bo wiem że ty to wszystko lubisz.“ Tyle miłości otoczyło go na raz; tyle lubych słów brzęczało w uszach, że biedne chłopie straciło prawie głowę, i niemogąc ogarnąć na raz tyle szczęścia, oddało się im w ręce, i tylko łzami które mimowolnie try-skały wyrażało nawał najsłodszych uczuć.

Teraz zaczęło się dla Kazimierza życie, prawdziwie takie o jakim marzył; dwie jego siostry, dwóch braci, a czasami i sam stryj proboszcz, jednemi wiedzni skłonnościami, przepędzali całe dnie na czytaniu wierszy, mianowicie sielanek Gesnera przekładu ks. Chodanego, i na wynajdywaniu najpiękniejszych okolic. Była tam i gruba księga w al-tanie, gdzie młode te, nieporosłe w pierze pisklęta poetyczne, zapisywały swoje wierszyki, koncepta i powiastki. Ma się rozumieć że wszystko było w tonie idylicznym Gesnera, który dla tego właśnie że się minął z rzeczywistością, że malował naturę i pa-sterzy całkiem wymarzonych, musiał zachwycać tych, co żyli wśród wiejskiej swobody, i szorstkich wieśniaków. Sprzeczność ta podobała się roman-sowym główkom; a i na Kazimierzu sprawiła wra-żenie, bo nawet w dojrzałych jego płodach prze-bija zbytńia sielankowość, zbytńie idealizowanie wieśniactwa i natury sielskiej. On, co mógł jako naoczny, od dzieciństwa świadek nawyknień, oby-czajów, charakteru prostego ludu, pochwycić na u-czynku każdy rys jego fizjonomii; on który, się ła-mać przywykł z rzeczywistością, czemuż nie dał

nam obrazków wiejskich zdjętych z natury z całą prawdą, może smutną, może zbyt krzyżącą pra-wdą, ale wierną, ujętą na uczynku? Czemu? bo gesnerowska idylla wymanierowana jak pędzel Watteau narzucała każdy pomysł, każdą scenę, grubym pokładem różowej, lub jasno szmaragdowej barwy. Wieśniak, stał się dlań wzorem ideal-nęj doskonałości i pięknoty; przyjaciel dzikiej na-tury jak Russo, w tem ma podobieństwo z genewskim filozofem, że sfałszował pojęcie, lubo nie żadna nienawiść ludzkiego rodzaju pchnęła go na tę drogę, tylko źle zrozumiana miłość.

Ależ wróćmy do kółka poetycznego w Wojniczu. Po niejakiem czasie tego sielankowego pożycia o-koliczności rozbiły to grono. Szczęsna, wraz z ma-tką wyprowadziły się o pół mili do Więckowic, gdzie bawiły przy państwu Mieroszewskich; a brat Andrzej umieścił się w domu starosty Dąbskiego, jako sekretarz.

Kazimierz oderwany od lubych istot, nieprzesta-wał nawiedzać ich, zawsze jednak ukradkiem, lub potajemnie; raz, że się wstydził swych wykrzy-wionych butów, i surduta z pakłaku, powtóre, że



spotykaniu się z osobami nieznanymi mu, a zwłaszcza wyższego towarzystwa, nabawiało go śmiertelną trwogą. Dla zrozumienia tego rysu, musimy zajrzeć w głąb jego charakteru. Jak wszystkie prawie wyższe zdolności i talenty, Kazimierz nadzwyczaj był skromnym i wstydlivym. Czując czem jest wartość wewnętrzną, starał się ją wyrobić w sobie i podnieść; przeto z dumą niejaką przybytek ten duchowy uważał za taką świętość, że nieśmiało go niczem zdradzić, nawet wyjawieniem swojej myśli w obcym kole, a niedopiero szarlataneryą słów, które najczęściej maskują próżnię wewnętrzną. Pozór go poniżał w oczach ludzi; cóż dziwnego, że uczucie tej zacności jaka w nim była, krwawiło się za każdym zetknięciem się z światem. Nie bez tego żeby i wychowanie poł dzikie, nie przyczyniało się do tej bojaźliwości; od dzieciństwa nosił on w piersi inny świat, jak ten, co go otaczał; jedno słówko ironii, rzucone przez jaką zarozumiałą powagę, mogło go zburzyć.... Drżał więc przed ludźmi, a nawet w późniejszym wieku, kiedy go otoczył wieńiec sławy, kiedy jako członek towarzystwa zasiadał na jednej z uczonymi ławie, lub jak profesor,

podnosił głos rozlegający się po całej Polsce, nawet i wtedy, musiał z nieśmiałością walczyć, i przypisywać temu usposobieniu wszystkie niepowodzenia losu, jakie go do końca dni trapiły. A jednak, umiał on szanować i cenić polotę, grzeczność, dowcip, konwersacyę wyższego towarzystwa; sam wyznaje, że chociaż za młodu nigdy nie spotkał się z kobietą mającą urok dobrego tonu i elegancyi, przecież w samotnych marzeniach, lubił stawiać sobie ten ideał, otaczać go blaskiem poezyi, anielskością uśmiechu, i wkładać w usta słodkie wyrazy, na które on, niby ćwiczony w galanteryi dworak, lub bohater romansu, odpowiadał równie przytomnie, wykwintnie i dowcipnie. Ależ rzeczywistość jakże odmienną była od marzeń! Pewnego razu, kiedy ukradkiem wbiegł do ogrodu dla widzenia się z starszym bratem, starościna Dąbska, którą sobie wyobrażał jako kwintessencyę wyższego tonu i ukształcenia, napotkawszy go gdzieś czającego się w agrestach, zagadała doń.... Chłopczyzna zamiast odciąć jednym z tych pięknych komplementów układanych *a priori*, języka w ustach zapomniał, spłonał rumieńcem po uszy, a bąknawszy jakąś nie-

zrozumiałą odpowiedź, niewiele myślący kopnął przez krzaki i płoty....

Można sobie wystawić przez jakie opałę przechodził Kazimierz ilekroć chciał z Szczęsną się widzieć, którą kochał serdecznie i nawzajem był kochany miłością aniołów lub gesnerowskich pastuszków! Chroniąc się nawet okien pałacu, zawsze jaka ciemna altanka, lub najgęstsze zarośle bywały miejscem schadzki; tam on przyczajony oczekiwał dopóki młode dziewczę obciążone łakotkami, i jaką książką, niewybiegło z dworu, aby małego dziczka nakarmić, i nagadać się z nim. Musiała to być poetyczna, podobna jemu natura dziewczęcia; albowiem pomimo swego wyższego wykształcenia, miała się za najszcześniejszą gdy mogła opuścić towarzystwo salonu i z małym marzycielem pobujać na skrzydłach wiośnianych rojeń. Do brata Andrzeja nie łatwiejszy był przystęp. Dworzec wspaniały, kobiet wiele, a do tego i czujne brytany, twardym dlań były orzechem. Mimo tego, chęć dostania książek, a oraz ciekawość zajrzenia bodaj przez szparę jak to tam w pałacu wygląda, sprawiały że się często-kroć pokusił przestąpić zakłętę progę. Raz kiedy

starostwa nie było w domu, dał się namówić do obejrzenia pokoi... Widok obrazów, bronzów, gipsowych i marmurowych posągów, wprowadził go w niezmierny podziw. Odtąd, jak sam powiada, rzeźba starożytna, miała dlań czarujący urok; na żadne złoczone po kościołach aniołki niemógł już patrzeć. Sztuka grecka będąca wyobrażeniem spokoju, duszę spokojem napełnia; uważał też ją jako najpierwszą z sztuk, i do końca życia nie przestał być ideału greckiego czcicielem.

Roskoszne to życie na wsi wśród miłego rodu i steku książek z bibliotek zamożnych domów, skończyło się nareszcie dla Kazimierza; albowiem z pozostałości po nieboszczyku ojcu pokazał się fundusz wystarczający na utrzymanie go w szkołach przynajmniej na lat parę. W skutek tego, Andrzej podziękował za swoje sekretarstwo i udał się do Krakowa, a on do szkół tarnowskich, gdzie stanął u dawnego swego gospodarza, Węgrzyna.



## ELEGJA NA ŚMIERĆ PRZYJACIELA.



Szczupły fundusz na zapłacenie stancyi i wiktu wyczerpał się prędko. Pozbawiony wszelkiej pomocy, musiał jęj szukać we własnych siłach, i puścić się na dawanie korrepetycyi. Ażeby dostać się do majątniejszego domu, potrzeba było pewnej rekomendacyi; a mieć jęj niemógł: ubożego sierotę nikt nie znał. Niepozostało mu zatém jak uczyć dzieci bogatego żyda. Belferował więc, i znalazł pomoc i współczucie u istot zdeptanych przez społeczeń-

stwo, podczas kiedy dumni koledzy odsuwali się z wstrętem od niego, upominani od rodziców aby nie wazyli się bawić z chłopcem tak obdartym. Uboga powierzchowność uprzedzała nawet o wewnętrznej jego wartości; pod wytartym surdudem, jak wtedy tak i dziś, utrzymują niektórzy że nie może bić ani szlachetne serce, ani mieszkać uczciwość.

Tymczasem Kaźimierz uczył się i uczył drugich; zamiłowanie pracy przynosiło mu niewielki ale wystarczający dochód; tak, że mógł sobie co miesiąca jaki grosz oszczędzić i przeznaczyć na książki polskie, które wówczas równie były rzadkie i trudne do dostania, jak dziś edycye Hallerów lub Unglerów. Uzbierawszy z górą dziesiątek złotych postanowił sprowadzić sobie z Krakowa parę książek, przez jednego z sąsiadów, który jeździł do tego miasta. Był to *Wybór poezyi dla szkół* wydany w Warszawie przez Pijarów, i romans Bernhardina de St Pierre: *Paweł i Wirginia*. Oba dzieła takie niewinne, a tak pożądane dla umysłu łaknącego pokarmu! Paweł i Wirginia! ta idylla nowego świata, ileż miała mu słodkich rojeń napędzić, ile tajników poezyi otworzyć! Mógłbyśmy o niej wiele powiedzieć

bo i sam, słysząc romans ten głośno czytany w mojem dzieciństwie, dotąd pamiętam jakie uczynił na mnie wrażenie i jakie struny poruszył; i kto wie, czy nie jemu winienem tę odrobinę poezji która się wplotła w moje uczucia i myśli, odrywające się od płaskiej rzeczywistości, ilekroć ta węzowemi pierścieniami przycisnie mię do ziemi. Instykt poety przeczuł jakie tam skarby mieściły się w tych kartach drukowanych na bibule; wybór więc jego był szczęśliwy. Niedarmo też codzień, dłużej jak od tygodnia wybiega na mурowany gościniec wiodący do Krakowa. Białe szlaki wiję się i ginie w nieskończonej przestrzeni, a on wyteżonem okiem upatrjuje w każdym tumanie kurzu znajomę sobie bryki i koni.... tuman się zbliża.... wiatr go odnosi.... serce już krzyczy: to sąsiad! to moje książki! tymczasem nieznana bryczka, nieznane konie! Taki zawód dzień w dzień go spotyka; nareszcie sąsiad w nocy przyjechał, i książki mu posłał przez jakiegoś studenta. Był to ladaco chłópiec; lizus, jak mawiają w szkole. Wprawdzie odniósł mu książki, lecz równocześnie do katechety polecił z językiem....

Ledwo Kazimierz obejrzał swoje skarby, ledwo

tu i owdzie okiem zerknął, i jaką myśl, lub wyrażenie w przelocie schwycił, które zaraz zaczęły w głębi musować i ubarwiać wyobraźnię pryzmami tęczy, wchodzi katecheta z miną pedagoga i pyta:

— Czy aspan wiesz, że niewolno mieć książek takich?

— Wiem, odbąknął Kazimierz, blednąc i chwiejąc się na nogach, a *corpus delicti* cisnąc pod połą....

— Jeżeli wiesz, na coś je sprowadzał? Oudaj natychmiast.

— Ależ księżę katecheto! tu zalał się łzami i ręce złożył.

Książki wyleciały mu z pod poły.... Biedak struchlał, i czekał w osłupieniu, jak winowajca wyroku.

— Marnotrawco! krzyknął profesor zbierając je i oglądając tytuły. Na takie głupstwa grosz trwonić! A niemasz to Gramatyki, Selekty? tamtego pilnuj. Zasłużyłeś na karę;

ale ostatni raz przebaczam, a książki konfiskuję.

Gdybyś umierającemu z pragnienia wytrącił szklanę z wodą, mniejby cierpiał, niż Kazimierz pozbawiony tej ochłody myśli utrapionej. Umysł chciwy pokarmu, artysta szukający narzędzia i formy do oddania natchnień swoich, są jak w gorączce, która ich w ciągłym trzymu nastroju i pędzi do najszańszych przedsięwzięć. Na niemieckich dziełach nie brakło Kazimierzowi: Wieland, Göthe, Haller zajmowały go, ale nie nasyciły; jemu trzeba było wtajemniczyć się w poezję ojczystą, zaprawić ucho na grze rymów, bogactwo stylu i wyrażeń zyskać. Sypiać nie mógł, a tylko o polskich książkach roił i jeżeli w marzeniach miał się niekiedy za rycerza okutego w zbroję, szukającego przygód, to myśl jego nie zwracała się do jakiej zaczarowanej księżniczki, o którą musiałby walczyć ze smokiem, ale pewniej do biblioteki mającej na straży z półkopy katechetów....

Z tępą wszystkiemi przeciwność ta, niezłamała

w nim żyłki do ćwiczenia się w języku i literaturze ojczystej; podobien owym zapalonym antykwaryuszom i bibliofilom, umiał zwietrzyć każdy szpargał polski; i gotów był głowę swoją narazić dla dostania go. Pewnego razu, a było to czasu lata, przechodząc się po rynku tarnowskim, ujrzał przesłiczne wiśnie u przekupki. Wzięła go oskomina; macnął się po kieszeniach, a napotkawszy parę krajcarków, postanowił kupić. Przekupka widać cywilizowanaśza niż zwykle, niesypała mu jagód ani w czapkę, ani w kieszeń, ale z jakiegoś starego szpargału udarła kartkę, i zrobiła na ten cel trąbkę. Na widok drukowanej kartki, jeszcze gockim drukiem, już zadrżał studencik; a cóż dopiero, gdy bliżej dostrzegł napis: *Rytmy Jana Kochanowskiego!* Naprzód przeszło go zimno od góry do dołu, potem płomień, w końcu zawróciło się w głowie, że prawie niewiedziało co robił, a raczej był gotowym dopuścić się jakiej ostateczności. Jakoż bez namysłu, nito kot rzucający się na myszkę, skoczył na resztki szpargału, porwał go, i dalej co tchu uciekać.

— Łapaj! Łapaj! wrzasnęły chórem przekupki,

dające tą razą przykład najściślejszej solidarności między sobą.

— Łapaj! powtórzył jaki taki idący rynkiem. Izłapano biednego literata. Na domiar nieszczęścia znalazł się i ksiądz prefekt na rynku; przed niego wytoczyła się sprawa; stanął sąd doraźny, i winowajca poszedł na kilka godzin do kozy, gdzie rozpa miętywał nad swoim głupstwem; gdzie wreszcie przyszedł do wniosku, że drogą dobrowolnej ugody mógł być z właścicielką zrobić zamienny handel na studenckie sexterna. Ależ nie próżne przysłowie: mądry Polak po szkodzie! Niesądzimy jednakże, aby owa miłość do książek, zamieniająca się najczęściej u młodych w śmieszny pedantyzm a przytępiająca inne uczucia potrzebne do zrobienia człowieka człowiekiem, tak wzięła górę nad umysłem i sercem Kazimierza, żeby się już żadne inne uczucie niemogło obok pomieścić. Kochał poezję, przepadał za książkami, ale też gotów był całego siebie poświęcić przyjaźni. Nic dziwnego, od dzieciństwa prawie sierota, nie tulony do piersi bijącej dlań miłością, tęsknił w osamotnieniu swém, do serca, w któreby mógł złożyć każdą myśl, wy-

plakać każdą łzę, któreby go zrozumiało, i zdolne było wypłacić się wzajemnością zwierzeń się i łez. Im więcej wchodził w młodzieńcze lata, im więcej się i wrażeń wewnętrznych przybywało, tem mocniej czuł potrzebę takiej przyjaźni, coby to trwała mimo lat, mimo przeciwności, uśmiechów i ciosów fortuny, utrzymywana jak święty płomień oliwą, ciągiem wzajemnych poświęceń się i usług. Orest i Pylad, ów wzór bajeczny, uchodził w przekonaniu jego za rzeczywistość. Potulny, usłużny, przywiązujący się łatwo, mógł być przecież znaleźć niejedną przyjaźń; ale jakże się często zawodził! Jedni do których miał pociąg, dla ich wykształcenia i wyższego poloru, odpychali go, powiadając że się im narzucał; inni przywykli do swawoli, i do życia wykwintniejszego, gardzili obdartym chłopcem, który ich nudził mądrymi rozmowami, a bawić się niemiał za co. Tu znowu, powodując się miłością do poezyi, wybiera sobie za przyjaciela jakiegoś Karpińskiego, pewien, że samo imię poety powinno dać umysł poetycki. Trapi więc najprozaiczniejszego biedaka zachęcając go do pisania wierszy; pomaga mu, kładzie w głowę, zapala —



darmo, z drewna niewykrzesze ognia! Homonym kochanka Justyny, nietylko do rymów nie miał zdolności, ale i do gramatyki i rachunków; bo niemożąc podłożyć ciasną głowę, porzucił szkołę...

Między innymi, przywiązał się był do jednego z spółuczniów, celującego lepszym wychowaniem i nauką. Chłopak z majątnego domu, miał dużo książek, map, rysunków, umiał języki, i był otarty w świecie. — Taka przyjaźń ileż była i korzystną i pożądaną dla Kazimierza, który jakiś rodzaj wyższego szacunku, czuł dla tej wykształcenijszej od siebie istoty! Wzajemności jednak nie znalazł. Pannicz, aczkolwiek cenił zdolność i zapał swego kolegi, lubił żartować z jego wykrzywionych butów, i łatanej kapoty, a najbardziej przedrzeźniać sentymentalne uniesienia, które, bądź co bądź były żywym językiem skłonności jaką pałał dla niego. Brodziński, istny zaślepiony kochanek, nie zważał na to; odwiedzał go co dzień, witając — z uczuciem ścisnął rękę; zegnając się, ocierał łzę — a w oddaleniu pisał doń wiersze lamentujące nad okrutnym Pyladem, a pełne najtkliwszych zaklęć na stałość wieczną. Cicha ta przyjaźń, najżywsza z jednej,

najzimniejsza z drugiej strony, urwała się nakoniec. Pewnego razu kiedy Brodziński bawił się z pannicem książką, czy też rozmową, wchodzi stary jakiś, nadęty jegomość ze wsi. Był to stryj pannicza. Po przywitaniu się, personat badawczy wzrok rzucił w około, a ujrawszy na boku nieśmiało tułającego się Kazimierza zmierzył go od głów do stóp, i zapytał:

— Co waść za jeden?

— Nazywam się Brodziński, kolegujemy z Jasiem; odparł jękając się i rumieniąc.

— Brodziński! — powtórzył krzywiąc się jegomość — nie znam tego nazwiska; — poczem obracając się do synowca: źle robisz chłopcze, zadając się z pierwszym lepszym szubrawcem. Kto z kim przestaje, takim się staje. Rozumiesz wać. — A ty, mój acanku — tu zwrócił się do truchlejącego Kazimierza i podniósł łagę; szukaj sobie innej stosowniejszej kompanii, a od panów wara; bo jeżeli cię tu jeszcze kiedy zastanę, to...

Kazimierz nie czekając na resztę perory i groźnego gestu, wybiegł jak oparzony przysięgając sobie w duchu nigdy nie szukać przyjaciół w bo-

gaty i dumnych, albowiem ubogi, zawsze pomó-  
nym zostanie o interes w zawarcu takiej przyjaźni.  
Jakoś nie długo po tym przykrym dla jego tkliwe-  
go serca wypadku, gdy lato było gorące, młodzież  
szła kąpać się do rzeki Białej. Do grona kąpia-  
cych się w którym był Kazimierz, przyłączył się  
także i ów panicz; a że to był chłopak otarty w świe-  
cie, a więc i zarozumiały między niedoświadczony-  
nymi jeszcze studencikami, więc w towarzystwie  
kolegów zawsze réj wodził. Ztąd też chociaż jego  
despotycznemu tonowi ulegano, jednak nie lubiono  
go; Kazimierz jeden tylko nie mogąc sfłumić w so-  
bie słałości dlań, pomimo dotkliwej obrazę, zawsze  
okazywał mu jednaka przychylność. Najlepiej to  
się okazało przy kąpieli. Panicz dufając w swoją  
powagę i siłę, zaczął przykrości wyrządzać chłop-  
com; temu suknie zarzucił na wierzbę, owego por-  
wał i zanurzył na dno, innego błotem omazał lub  
z sukniami wciągnął do rzeki. I w najpotulniejszych  
przebierze się nakoniec miarka cierpliwości. Jakoż  
jeden, któremu najgorzej dokuczył, postanowił u-  
karać psotnika, a podmówiwszy innych, (co było  
łatwo, gdyż każdy miał nań zawziętość), kazał

im się uzbroić to w pręty, to pokrzywy, to grudy  
ziemi i wyskoczyć na brzeg. Panicz, który się dość  
nakapał, również chciał wydziać i ubierać się; lecz  
odpędzono go od brzegu zasypawszy gradem brył  
i pogroziwszy pokrzywą i prętem. Wrac cały od  
gniewu, gdy widział, że się nie tak łatwo dosta-  
nie, krzyknął na Brodzińskiego, który stał na bo-  
ku ubrany, aby mu suknie rzucił, zaklinając na  
świętość przyjaźni. Kazimierz, na to słodkie wezwa-  
nie, skoczył ku sukniom nim się drudzy opatrzyli,  
a zrobiwszy mały węzełek, cisnął w środek rzeki.  
On pochwycawszy suknie, że był dobry pływak,  
ułożył sobie przepłynąć na drugą stronę, i tam  
się ubrać w bezpiecznym miejscu od gradu pocis-  
ków. Puścił się więc, trzymając węzełek nad głó-  
wą. Rzeka była rwąca i dość wezbrana, silne prą-  
dy i wiry utrudzały widocznie przeprawę i tak już  
zmęczonemu godzinną walką i szamotaniem się;  
dla tego pęd rzeki coraz go unosił, tak, że na za-  
kręcie zniknął. Poskoczył Brodziński, poskoczyli  
inni, chcąc widzieć jak wyląduje: ale już go niebyło  
widać. Zrazu sądzono że się ukrył w wiklinach;  
lecz gdy na żadne wołanie nieodpowiadał, dopiero



strach ogarnął wszystkich. Utopił się! utopił! ten i ów skoczył do wody; szukano, ale darmo! ludzie pracujący w polu na ten hałas nadbiegli; gdzieś tam i Łódź się znalazła; ale mimo największych usiłowań nie można go znaleźć. Łatwo sobie wyobrazić jaki smutek ogarnął młodzieńców, zwłaszcza tych co się stali przyczyną tego nieszczęścia. Brodziński przejęty do żywego stratą przyjaciela, który acz wzajemności dłań nie miał, był zawsze przedmiotem jego adoracyi, prawie do białego dnia chodził po brzegu i lamentował.... Dopiero w kilka dni ciało topielca wydobyto, i przywieziono okropnie zeszepeczone. Widok ten, sprawił uocne wrażenie na Brodzińskim. Wrócił z rozdartém sercem do domu, nie kładł się spać, tylko usiadł przy otwartém oknie w które księżyc zaglądał, i tak całą noc dumając, napisał elegię na śmierć kolegi... Nazajutrz przeczytał ją współuczniom w klassie. Młodzież z uniesieniem i rozrzewnieniem słuchała téj skargi tkliwego serca; a nawet professorowie, dostawszy ten wiersz nie mogli się nachwalić.... Ale nie tu koniec tryumfu młodego poety, a raczej najcenniejszój nagrody. W parę dni jeden z kole-

gów przyprowadza doń matkę utopionego, która na wiadomość o śmierci syna przyjechała ze wsi. Biedna kobieta ze łzami w oczach, rzuca się na szyję Kazimierzowi i przyciskając go do łona, mówi: Dziękuję ci, synu! tyś odgadł wszystkie bóle matki tracącej jedyne dziecko! tyś opłakał przyjaciela! Gdyby mi wolno było, pragnęłabym abyś jego miejsce przy mojem sercu zajął, choć straty mego Jasia nie mi już nie zastąpi!...

Biały piołun na twém grobie,  
Wnet będzie ubranie tobie;  
Nadzieje wszystkie pospołu  
Zagrzebię w garstce popiołu....

I żałosnym głosem powtórzywszy tę strofkę jego elegii, znowu zalała się łzami... Serce Kazimierza tknięte tak nieznanym mu widokiem — w tym pierwszym prawie uścisku kobiety i matki, rozpłynęło się jak воск; — ukląkł przy niej, i całując ręce, szeptał stłumionym głosem: Jakież to nieporównane szczęście, znaleźć choćby przypomnienie matki!

## OCHOTNIK WOJENNY.

Prędko zbiegły młodzieńcze lata naszemu Kazimierzowi, choć w niedostatku i pracy mizolnej; nareszcie ujrzał się w ostatniej klasie i dopiero kłopotliwe myśli go obsiadły: do czego się nadal weźmie? czy pójdzie gdzie w prywatną służbę za pisarza, czy do końca dni ma bakałarzyć z dziećmi, czy wstąpi do wojska? Opiekun, dość zimny, na wszystko się zgadzał, byle się zbył co rychlej opieki.

Tym czasem wypadki polityczne, wtedy takie nagłe, takie niespodziewane, co chwila prawie zmieniały widownię, a tém samém odsłaniały coraz nowe cele, nowe nadzieje. Księstwo warszawskie Napoleon ogłosił; — gazety i ustne wieści dolatując z tego kraju, budziły w młodych umysłach zapał, żądze sławy wojennej, i widoki do pięknej kariery otwierającej się, jak zwykle w kraju nowo stworzonym, potrze-

bującym i rąk i głów. Mnóstwo młodzieży z Galicyi przekradało się do księstwa, gdzie z małych i nieznaczących, doszli prawie od razu wysokich stopni. Przykład taki upajał, wprawiał w gorączkę, tém więcej, że się w to mięszało ubóstwienie dla Napoleona, rozszérzane mianowicie przez wojskowych, którzy służyć w legiach poprzyjeżdżali do Galicyi odwiedzać swoich rodziców lub krewnych.

Każde takie zjawisko moralne czy polityczne odbija się najwięcej w sercach i głowach młodzieży, instynktowie odgadującej, że się na coś nowego w świecie zanosi. Ztąd zaraz po szkołach pokątne pogadanki, schadzki, rojenia; zabawy nawet bywają odmiennej barwy. Brodziński, gwałtowniej czujący, z żywszą wyobraźnią, i instyktami czystsze, uchwycił się duszą i ciałem wschodzących nadziei. Dzień i noc marzył tylko, jakby się dostać do Warszawy, do tej Warszawy gdzie po polsku mówią i piszą, gdzie polskie gazety i książki drukują, gdzie się zawiązało towarzystwo przyjaciół nauk, gdzie wreszcie taki uczony jak Biskup Al-

bertrandy proteguje i chwytą młodzież zamiłowaną w naukach.

— Dam się mu poznać, pomyślał raz w literackiej dumie Kazimierz, i zebrawszy spory plik swoich wierszy, wypalił list pełen uniesień, ofiarując swoje zdolności i usługi....

Ucieszony z śmiałego kroku, oddał list na pocztę lecz ten wrócił napowrót — Biskup Albertandy już nie żył; w dodatku zyskał jeszcze surowe napomnienie od władzy, za niewczesne sentymenta któremi list napełnił.

Przeciwność ta niezraziła go; dumiał i pisał zawsze, jeśli nie o Kościuszcze i Dąbrowskim — to się zapalał na wierszach wiedeńskiego poety Collina. „Poezye te — przytaczam własne jego wyrazy — były pełne czystej miłości ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów; owoż tak mię zajęły, że nie wchodząc bynajmniej, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom pisał, w kilka dni, z największą łatwością, wierniem na polskie przetłumaczył.

Praca ta, rozbiegła się w kilka dni po całym Tarnowie.

Pewnego ranka, wzywają naszego wierszopisa do Starosty cyrkularnego.

Stawił się pokorny i drżący, pewien, że za jaki wybryk studencki czeka go strofowanie lub kara.

Ale — ochłonął cokolwiek, gdy ujrzał Starostę trzymającego w ręku jego przekład Collina.

— Czy to Pan tłumaczyłeś tego wielkiego poeetę? Zapytał urzędnik.

— Tak jest — odbąknął Kazimierz.

— Winszuję! Uczucia tak loyalne przynoszą zaszczyt i Panu, i na całe szkoły rzucają najpiękniejsze światło.

Obecny temu prefekt szkół, przystąpił do Brodzińskiego i pocałował go w czoło.

Niespodziewany ten tryumf zmieszał go i zdziwił.

UrządNIK, tak kończył: wiadomo nam, że fundusze masz szczupłe; owóż przekład ten posyłam do Wiednia, wraz z przedstawieniem, aby młodzieniec takich zdolności do instytutu Tereziańskiego mógł być przyjęty. Proszę słowu memu zaufać, i wszystkich upewnić o pieczołowitości rządu dla tych, co się odznaczają talentem i dobrym sposobem myślenia.

Dostać się do Teresianum na koszt cesarski, pobierać wysokie nauki, wyjść z zapewnionym losem na przyszłość!... To mu się niemoгло w głowie pomieścić. I cieszył się tym obrazem i smucił, i chwycił tę myśl i odpychał; a z resztą i wstydził się w duchu, bo sobie rozumował: jakaż moja zasługa? żem Collina tłumaczył? — tak samo mógłem tłumaczyć Szyllera lub Mathissona... Dobrze to mówią: fortuna ślepa, inaczej nie byłaby fortuna tylko nagrodą za prawdziwą zasługę...

Kiedy tak młody poeta bije się z myślami, kiedy w nim walczy entuzjazm dla Napoleona,

dla świeżych jego zwycięstw, wreszcie dla wspomnień i pięknej przyszłości rozwijającej się w nowo utworzonym księstwie, z prozaiicznym zapewnieniem sobie bytu, nadchodzi ów pamiętny rok 1809. Cesarz francuski wojnę wypowiedział Austrii; pułki jego po stopniach zwycięstw posuwały się ku Wiedniowi, a nad Wisłą rozpoczynały się ruchy wojenne.

Wtenczas to krążyły odezwy rządu, bardzo rozsądnie pisane, wystawujące bezowocne oddanie się Polaków w ręce Francuzów, wyliczające poświęcenia, trudy i krew przelaną nad brzegami Padu, Adygi, Trebii, a nakoniec haniebną i bezbożną wojnę w Hiszpanii, gdzieśmy mordowali katolicki naród. Jeżeliby zimna rozwaga była w stanie stłumić ślepy zapał i żądę sławy, odezwy te trafiłyby zapewne do przekonania. W tymże celu, gdy się rozpoczęły kroki wojenne, przybył do Tarnowa oficer sztabowy z Wiednia, który kazawszy się zebrać wszystkim uczniom, miał do nich przemowę pełną rozsądnych uwag, odwołującą od łączenia się z nieprzyjaciołmi państwa, a na-



kłaniającą do wstępywania w szeregi austriackie w obronie panującego monarchy. Po mowie tej wyrzeczonej po niemiecku z wielkim ogniem, zapytał ów oficer, czy jest kto gotów bronić ojczyzny i cesarza?... Niech wystąpi. —

Głuchem milczeniem odpowiedziały tłumy słuchaczy. Aż w tém, jakiś piskliwy, zakowski głos przerwał tę ciszę: Brodziński chce bronić ojczyzny. —

Oficer i profesorowie zawołali: Niechże wystąpi!

I wyszedł na środek wyrostek, cienki jak struna, niezgrabny jak literat, z okiem zapadłym i twarzą zapadłą... skurczony i bojaźliwy.

Spojrząwszy na takiego obrońcę, w głos parsknął śmiechem oficer i gremium profesorów.

Ów żart złośliwego kolegi ubódł miłość własną Kazimierza; odtąd zatopiony w myślach roił tylko o wojnie; widział się, jak na czele szwadronów wpadał na armaty; rąbał w prawo i lewo, brał sztandary, i mówił po francusku z Napoleonem, który mu krzyż legii honorowej na polu bitwy przypinał.

Rojenia te, przybrały wkrótce barwę rzeczywistości, gdy raz wracając późno do domu, spotkał przechodzącego się w ulicy mężczyznę, dość tajemniczo owiniętego w płaszczu.

Brodziński uderzony jego powierzchnością obcą, zaczął się mu przypatrywać. Nieznajomy przystąpił doń, a utopiwszy badawczy wzrok w twarzy młodzieńca, rzekł: Jesteś studentem?

— Tak jest — odpowiedział.

— Polakiem?

— To się rozumie.

— Przenocuj mię u siebie. Potrzebuję bezpiecznego schronienia.

— Z całego serca — odparł Kazimierz — niewiem tylko czyli będzie na czém; bo u mnie studentcki porządek: jedno łóżko, jeden stolik, i jeden stołek; zresztą książki i papiery.

Mniejsza o to; niepierwszy mi raz spać na gołej ziemi; żołnierz obejdzie się bez łóżka.

Tym sposobem zawiązała się znajomość z ową tajemniczą osobą. Był to oficer z wojska polskiego wysłany z księstwa dla namawiania młodzieży i ułatwiania im przeprawy. Można sobie wyobrazić,

że cała noc zeszła im na pogadance o wojskowości, na opisach różnych bitew, i słodyczy żołnierskiego stanu. Brodziński wstawszy nazajutrz rano, cały już dyszał wojną, przemyśliwając jak tu spieniężyć graty swoje, i jak się zaopatrzyć na tę wyprawę.

Nieznamy ułatwił mu wszystko: przepisał drogę, dał listy rekomendacyjne, i wyszukał drugiego ochotnika Niemiryca, mniejszego jeszcze i szczuplejszego niż Brodziński. Pokazuje się, że to był jeden z tych emissaryuszów, co to niemając szczęścia z ludźmi doświadczonymi, próbują siłą swą wymowy, na umysłach dzieci; którym wreszcie nie chodzi o jakość, ale o ilość zrekrutowanych rycerzy.

Dość że nasi dwaj ochotnicy, pożegnawszy się z przyjaciółmi, zaopatrzywszy w metaliki i szkaplerze dane im z błogosławieństwem jakiej poczciwej matki, o kiju w ręce i węzełku na plecach, przekradli się szarą godziną za rogatki tarnowskie. Dla odpędzenia trwożliwych myśli w głuchym polu, śpiewali marsze wojenne; a Kazimierz dla dodania sobie ducha i wytrzeźwienia towarzysza, któremu

się ciągle na spanie zbierało, deklamował świeżo przez siebie napisany wiersz dydaktyczny o *wojskowości*, który później nawet w zbiorze dzieł jego znalazł miejsce, lub też z żywą wyobraźnią poety, opisywał mu jaką bitwę napoleońską, naśladując huk dział, grzmot bębnowy i tentent jazdy. Zapał ten jednakże, poetycko-wojenny musieli często hamować, czając się gdzie w krzakach lub przylegając w zbożu, albowiem, tu i owdzie snujące się komendy wojskowe i strażnicy pograniczni, dla łapania zbiegów, mogli od razu zepsuć zuchwałe plany, i wojennego ducha ostudzić w kozie.

Mimo tego podróż odbywała się wesoło i przyjemnie, choć piechotą i często w strachu przed kozakami korpusu Galicyjczy, którzy niby sprzymierzeni, łapali bardzo zręcznie przemykających się ochotników, i odstawiali do cyrkułu. —

Po kilku dniach młodzi nasi rycerze, stanęli nakoniec w jednym dworze blisko granicy, u obywatela, do którego ich polecono, i gdzie mieli znaleźć wszelkie bezpieczeństwo. Już po znojach podróży rozgo-

ścili się na dobre, już im panienki znoszą konfitury i fetują, już jedna siada do klawikortu i śpiewa marsza Dąbrowskiego, któremu wtórują z całym zapamię, wzbudzonym i pieśnią i wdziękiem śpiewaczki, gdy oto otwierają się drzwi — wchodzi kapral z kilkoma pogranicznymi żołnierzami.

Na ten widok, bohaterowie nasi, dobyliby niewątpliwie szabel i uderzyli na niespodziewanych przeciwników — lecz na nieszczęście ani kawałka żelaza nie mieli przy sobie.

Pobledli tylko i zrejterowali w najciaśniejszy kątek pokoju, zasłaniając się damami, które jak prawdziwe amazonki, stawiły czoło napastnikom, tłumacząc im, że ci dwaj młodzieńcy, są to ich krewni, studenci, przybywający na wakacje.

Niepomogły perswazyje; zacięty kapral, nadał sobie nic a nic mówić, tylko wywijając bagnetem wołał:

— Heraus! Panowie ułany! — prosim z sobą.

Niebyło co robić! *Nec Hercules contra plures*, pomyślał sobie Kazimierz, i ciągnąc za sobą towarzysza, kapitulował.

Panny w płacz, sędzys w krzyk — ale nie pomogło! Kruty newerty, treba umerty — mówi ruskie przysłowie.

— Otóż i koniec tak pięknie zaczętej karyery! Kula w łeb, albo stryczek — pięknieśmy się wykierowali! Bodajtam kaci porwali tego, co nas namówił. —

Tak w duchu dumali, a raczej tak sobie szepotali nasi ochotnicy, kiedy kapral naśmiawszy się do woli z niepoczesnych obrońców ojczyzny, oddał ich staremu i kulawemu inwalidowi aby odtransportował do komendy.

Na szczęście niezwiązano im rąk, ani kajdanek włożono na nogi, oba bowiem popodbijawszy się na kamieniach, porządnie chromieli. Żółwim tedy krokiem wszyscy trzej kulawi, maszerowali do pobliskiego miasteczka gdzie stał oficer.

Wszedłszy w lasek brzozowy gęsty i głuchy, ocknął się w Kazimierzu duch wojenny, szepnął więc Niemiryczowi: uderzmy i wybijmy się na wolność.

— On taki straszny — odrzekł ów bojaźliwie — niedamy mu rady i jeszcze gotów nas zastrzelić...

— Prawda, gotów zastrzelić...

— I, po nas...

— I, po nas!!!

Inwalid idąc bokiem drogi, palił sobie fajeczkę jakby nic nie uważał; aż nagle krzyknął: *Halt!*

— Oba zuchy struchleli i stanęli jak wryci.

Starowina stękając usiadł pod drzewem, a karabin cisnął na ziemię, po czém dał im znak aby zbliżyli się. Wpatrując się w nich długo, mierząc od stóp do głów, często przytém puszczał dymek i uśmiechając się wzgardliwie, machnął nakoniec ręką i rzekł:

— Wy sem welkėj krywdy Cisarowi nie zrobi-  
te! —

Chłopcy, jeszcze nie nierozumieli; dopiero gdy zapytał, czy dużo mają pieniędzy? rozjaśniło się im cokolwiek.

— Ja mam dwieście reńskich, wyrwał się Niemirycz.

— A ja dwadzieścia — dodał Brodziński.

— Pokażcie sem — skonkludował żołnierz; a przekonawszy się że rachunek się zgadzał, odsunął każdemu po cztery reńskie i rzekł:

— Wy sem moje chłopcy na wojnie dostaniecie pieniędzy, a ja na wojnę za stary. — Teraz ruszajcie do czarta!

Chłopcy nóż go całować i ścisnąć.

— No! dosyć tego! — teraz halom marsz, a ostrożnie, aby was kto niełapał; o ćwierć mili macie granicę, droga prosta jak strzeł.

Można sobie wyobrazić że tego zbierali nogami przez chrusty i rowy; za pół godziny znaleźli się na ziemi sandomirskiej, którą pierwszy raz powitali w życiu...

Huczny był Kraków, kiedy nasi dwaj ochotnicy po kilku dniach wchodzili w jego mury. W tym właśnie czasie nastąpiło zawieszenie broni, i Książę Józef wszedł z wojskiem polskim do Krakowa. — Jakiż to nowy przedstawił się im widok! na ulicach gwar ludu, brzęk ostróg i pałaszy, po rynku stoły zastawne, częstowania i wiwaty.

Naszym studentom aż w głowie się zawraca: jakże to piękny ten stan żołnierski! mówią do siebie, i przemyślują żeby czém prędzej przyodziać się w błyszczący mundur.



Kręcąc się tu i owdzie, zabierając znajomości z wojskowymi, którzy im wychwalają broń swoją, zwykle z uszczerbkiem drugiej, byli w prawdziwym kłopotcie czy się zaciągnąć do ułanów, czy do piechoty, czy do artyleryi. Na szczęście dla Kazimierza, gadając z jednym artylerzystą, dowiedział się od niego, że służy pod komendą kapitana Reklewskiego.

— Reklewski! przecież to przyjaciel i kolega szkolny mego brata, a przytęm poeta! wykrzyknął Kazimierz, i wypytawszy o jego kwartę, pobiegł doń wraz z Niemiryczem, który był jego nieodstępny przyjacielem.

— Czego to chcecie moje chłopcy? Zapytał wesoło Reklewski — gdy mu się przedstawili.

— Służyć ojczyźnie! — ostro odpowiedzieli oba.

— Alboż to ojczyzna mamką? — przerwał biorąc się ze śmiechu pod boki — wam jeszcze mleko pod nosem; wracajcie lepiej do książki.

— Mamy dość siły i dobrego ducha — odpowiedzieli znowu — chcemy być użytecznymi.

— A cóż umiecie!

Tutaj mieli popisać się z swoją nauką łaciny, i greckiego, i niemczyzną i poezją... ale Reklewski pytał dalej:

— A umiesz żyda wytargać za brodę? — A wódkę pić umiesz — a dziewczynie ukraść całusa?

Chłopcy zmieszali się niepomału, wzięci na tak ostry examini; ale na szczęście przybył im w pomoc poważny, po polsku ubrany starzec, ojciec Reklewskiego; on to, z wyrazem ojcowskiej dobroci, głaszcząc ich po głowie, zawołał: Zapisz ich Wiciu; widać że to ucziwe i dobrze wychowane dzieci; przez czas zawieszenia broni poduczają się nabijać armaty. W pracy i ruchu rozrosną się, i będziesz z nich kontent.

Stało się, kapitan ich przyjął — a oni aby oblać mundur, poszli do cukierni dla nabrania fantazyi — i każdy wypił po cztery szklanek orszady..

## WYPRAWA NA MOSKWĘ.

Było to w roku 1813; w małej izdebce na trzecim piętrze, w domu Greblowój w Krakowie, siedział mężczyzna zatopiony nad jakąś starą kroniką, z której robił wyciągi, zapewne do jakiegoś dzieła. Z oczu mu patrzyła ciekawość, i zamiłowanie pracy, bo nawet dopalająca się świeca, nie przerywała ciągu poszukiwań. W tém dało się słyszeć na wschodach stąpanie i brzęk pałasza — uczony nie słyszał go; dopiero gdy się drzwi otwarły, i oficer w mundurze artyleryjskim, stanął na środku izby, i zawołał: Ambroży! czy mię nie poznajesz? — dopiero ocknął się, zerwał z miejsca, a obejmując nowoprzybyłego w ramiona, wykrzyknął: Brodziński! ty żyjesz!! —

— Jak mię widzisz!

— A jam cię już opłakał! Z twojem wątlém zdrowiem, jakżeś zwyciężył to wszystko: te trudy ten głód, mrozy, mordercze bitwy?!

— Widać że mię Opatrzność zachowała na coś jeszcze — odparł z westchnieniem — najpewniej abym opłakał najdroższych przyjaciół, na których żałośny koniec patrzałem.

— Siadajże, rozgość się, ogrzej — mówił gospodarz robiąc mu wygodne miejsce — i opowiadaj.

— *Infandum jubes renovare dolorem ...* zawołał Kazimierz, żałośnie wstrząsając głową. — Straty, same straty! Sięgałem po wieniec laurowy zdobyłem cyprysowy z żałobnych wspomnień u wity. O niewierzysz przyjacielu, ile ten rok kosztował mię łez! Śmiejesz się z płaczącego żołnierza — ale darmo! takie mam głupie serce, że się do wszystkiego przywiązuję i krwawi za każdą stratą.... Tu umilkł i oczy dłonią zasłonił; a po chwili: Znałeś ich wszystkich; i mego brata Andrzeja, i Reklewskiego, i Krzesimowskiego, i Kocha i Mieleckiego — z całego tego grona, które niegdyś tak ożywionemi rozmowami napełniało tę samą izdebkę — ja jeden tylko zostałem!

— Uspokój się przyjacielu! cóż robić, na wojnie ludzie nierodzą się,

— Prawda — ale po tylu świetnych nadzie-

jach — tak głęboki upadek! Gdybyś był widział tę armię półmilionową, z tym Bogiem wojny na czele, kiedy parła się tryumfalnym pochodem na północ, kiedy na jej widok topniały wojska, padały twierdze i miasta — byłbyś przysiągł, że się nieoprze aż o pol lodowaty i stopi go tym ogniem jaki w piersiach swych z gorętszych krain przyniosła... Nit: fale czerwonego morza ustępujące przed narodem wybranym, przed nami ustępowało wszystko. Ileżto razy chyliłem czoło przed tą gwiazdą napoleońską, wierząc, że ją Bóg zapalił nad jego czołem, aby ludzkość doprowadził do wielkich przeznaczeń... I we mnie biło serce dumniej; czułem, że coś znaczę w widokach Opatrzności; każdą razą, com mierzył lub zapalał działo, świst wylatującej kuli i wyłamującej kolumnę, brzmiał w moich uszach jakby wyrok niebios: ukorcie się i słuchajcie !!!

Niezdolałam ci wypowiedzieć tego entuzjazmu, tej fanatycznej wiary jaką mię napełniało wszystko na com patrzył; mimo bezowocnych bitew pod murami Smoleńska, i zwycięstw krwawych pod Borodinem, gdzie został kwiat armii, gdzie tyłu przyjaciół

straciłem; mimo że czułem słabnące nasze siły, a rosnące niebezpieczeństwa i przeciwności im głębiej darliśmy się w serce Rossyi — nietraciłem nadziei.. Aż nadszedł czas bolesnego rozczarowania.

Pamiętam czternastego Września — jeden z pierwszych, wszedłem do Moskwy: byliśmy bowiem w awangardzie... Widok tego miasta — tej złocistej oazy na puszczy śniegowej, napełnił mię radością, ożywił wszystkie nadzieje; najśłodziej byłbym dał życie pod jego murami, jak krzyżowiec pod Jerozolimą — ale nikt niezastąpił od muru — trupa zostawiono nam w ręku, duch narodu uleciał... Przebiegłszy kilka ulic bezludnych, ujrzawszy tu i owdzie wymykający się dym i płomień z pod dachów, zrozumiałem wielką taj mnicę. Co na to bohater mój powie?... Widziałem nieraz jego twarz marmurową, jak w stanowczych chwilach, gdy się ważyły losy armii, gdy najwaleczniejszych marszałków i generałów wynoszono na płaszcach z pola bitwy, nigdy nie drgnęła nawet wzruszeniem, niezabiegła krwią, pokazując się zawsze jednako, niezdoliczoną, nieździwioną niczem, marmurową... Widok Moskwy jakież robi na nim wrażenie?

Puściłem konia cwałem ku górze Pokłonnéj..... Niebawem, ujrzałem go na koniu otoczonego sztabem głównym... Wjechałszy na sam szczyt, z kąd szeroki otwierał się widok na ten gród aziatycki lśniący złotem tysiąca kopuł, zatrzymał konia... Otóż nakoniec cel naszej drogi! zawołał... Potem spojrział dumnie po otaczającym go orszaku, i dodał: wąpiliście w moją gwiazdę — teraz wiercie.. Jakie myśli musiały grać w jego głowie w téj przelotnej chwili tryumfu — tego niewyda język ludzki; w oczach tylko ogarniających przestrzeń, wylatujących prawie za krańce rzeczywistego świata, mógłś wyczytać: teraz Moskwa, potem Petersburg nakoniec świat cały... Ale w tym momencie przypadł adjutant od Murata: *Sire, Moscou est déserte!* Na tę wieść — a niespuszczałem go z oka — marmurowa głowa, przybrała barwę ołowiu... blask bijący z jego czoła przygasł... bo i gwiazda szczęścia zagasła... musiał ucuć tę zmianę w sferze niebieskich wpływów, gdyż wstrząsnął się wszystkim, jak zapewne się wstrząsnął Samson, kiedy mu Dalila kędzior ustrzygła... Czułem to, choć niewidziałem; bo wielki polityk, komedyant i sofista,

wszystko zaraz na dobre obrócił... wierzo no mu; ale mnie słowa jego zdały się pustym szumem, maską, kryjącą ranę śmiertelną...

Cóż ci więcej mam mówić? Odtąd — jak pierwéj piéłsi my się po stopniach zwycięstw, tak teraz zlatywaliśmy na dół po stopniach klęsk...

Brodziński zwiesił głowę i zamilkł...

— A jakimże cudem — przerwał Ambrozy — wyszedłś cało z téj okropnej przeprawy przez Berezynę? —

— Prawda że cudem... Kiedyśmy się cofali z Moskwy otoczeni chmarą nieprzyjaciół, którzy nam chwili wypoczynku niedawali, kiedy ścisnęły okropne mrozy przezadzające gorzej nasze szeregi niż grad kul, kiedy głód i wszystkie rodzaje nieszczęść zwały się na tę niegdyś najpotężniejszą armię, że przedstawiała raczej obóz cyganów niż porządných szyków — gwiazda napoleońska, ta gasnąca gwiazda przywiodła nas nad brzeg Berezyny. Widok téj błotnistéj i szeroko rozlanéj rzeki, której brzeg przeciwny zajmowali Rossyjanie, czynił przeprawę prawie niepodobną, zwłaszcza z takim tłumem maroderów i niezmiernych bagaży.



Ale chłop jakiś litewski przebrodził rzekę na koniu, mimo idącój kry, i zaraz powzięto myśl rzucić mosty, jeden dla piechoty, drugi dla artyleryi i bagaży. Niedobitki nasze naciskane zewsząd przez wojska nieprzyjacielskie pchały się ku mostom, które niemogąc wytrzymać ciężaru ludzi i wozów załamały się po kilkakroć. Wtenczas to utonęła moja powózka pełna najpiękniejszych edycyi dzieł francuskich, które mi żołnierze naznosili w Moskwie. To była cała moja zdobycz; straciłem ją — ale czémże ta strata obok najdotkliwszej! Mój brat Andrzej, który przeznaczony na adjutanta placu w Szkołowie, nie dzielił z nami wyprawy na Moskwę, przybył do półku swego na trzy dni przed katastrofą berezyńską. Niemogłem się nim nacieszyć, bo jakoś duch we mnie wstąpił widząc go bliskim siebie; po stracie Reklewskiego, który umarł w drodze do Moskwy kiedyśmy go rannego pod Smoleńskiem wieźli do szpitala, po stracie tylu innych kolegów, uczułem się samotnym i zrospaczanym. Było to jak pamiętam 28 Listopada. Przeciw ogromnym siłom Czyczagowa garstka walecznych pod dowództwem Oudinota i Dąbrowskiego

broniła przystępu do mostu. Andrzej znajdował się wtedy przy Dąbrowskim. Właśnie miałem się przeprowiać na drugą stronę, gdy mi któryś z rannych powiedział, że Andrzej raniony... Nie myślę już o własnem ocaleniu, ale pędzę ku miejscu gdzie trwał bój... Znalazłem go, leżał pod drzewem w rękach felczera, który mu skośniał od zimna ręką usiłował wyjąć kulę z piersi... Widząc jak nieszczęśliwy się męczy, wyrwałem felczerosi instrument, i zapuściwszy go w ranę, wyjąłem ją lekko... Andrzej westchnął głęboko, zawrócił ku mnie oczy w których malowała się cała jego miłość braterska, i cichym głosem przemówił: Dziękuję ci Kaziu; ale pomoc twoja już późna — czuję zbliżający się koniec... Znajdziesz tu w pularesie moje bazgraniny, pamiętaj o nich; niech aby tyle pamiątki zostanie po mnie. — To rzekłszy, ścisnął mi rękę, a przeżegnawszy się, zaczął mówić pacierz, i nim jeszcze doszedł do amen, już nieżył! —

Łza stanęła w oku opowiadającego; otarł ją i dodał po chwili: jakim sposobem przeprowiłem się na drugą stronę? niewiem; zapewne tłum porwał mię, i uniósł... Potém około Wilna odbiłem się

w nocy od mego korpusu, tułałem długo o głodzie i zimnie, dopiero za Niemnem spotkałem znajomego mi podoficera, który nakarmił, przyodział i jeszcze wziął na sanki i zawiózł do Warszawy. Ostatni obowiązek jaki na mnie ciążył, był najsmutniejszy. Musiałem bowiem być zwiastunem śmierci synów, których do wojska wciągnąłem, przed ich ojcami i matkami... Przeklinają mię gdzieś! ta jedna myśl odbiera mi pokój wewnętrzny...

— Cóż teraz zamysłasz z sobą robić? zapytał Ambroży biorąc go za rękę.

— Żołnierz niema zamysłów — odparł posępnie Kazimierz — każą stać, będę stał; zatrąbią do marszu, pójdę. Ale to pewna, że nawet w ukończonym naszym Krakowie niedługo będziem popasać.

— Jako? Czybyście nas mieli opuścić?

— Tak słyszałem; może nawet jutro to nastąpi.

— I dokąd?

— Bóg wie! przyczepieni do tej spadającej gwiazdy, pójdziemy szukać grobu, gdzie w obcej ziemi. —

Nazajutrz, co było polskiego wojska w Krako-

wie, wszystko wyszło do obozu pod Promnik, aza nimi wysypało się całe miasto, żegnając się z tą jedyną swoją nadzieją. Teżże samej nocy, obóz promnicki, zajęły wojska Austriackie. Nasi poszli ku granicom Niemiec. Napoleon stawił raz jeszcze potężne czoło przeciwnemu losowi — i został złamanym pod murami Lipska. Kazimierz dostał się do niewoli pruskiej, z której uwolniony, przeżywał czas jakiś u ciotki swojej w Sulikowie, gdzie odpoczywał, gdzie znużony wojną i grą polityki, pisał do swego przyjaciela (Ambrożego Grabowskiego) „Z nowin mi niedonoś nic, bo ja teraz chcę być zupełnie ową Chryzalidą, i jak przyjdzie czas, całkiem nowo i nieznajomo na świat się pokazać.“ Dotrzymał słowa; bo w tej zacisznej wiejskiej, przygotował się przyszły mąż narodu, który poszedł nową i samodzielną drogą, torując ją sobie piórem i słowem. —

## TRYUMF POETY.

Liczne grono osób napełniało salon pani L. w Warszawie, gdzie się często zbierały znakomości literackie, a między temi, jak zwykle, przyjaciele domu i literaci, i jeszcze pewien rodzaj pasożytów żyjących, że tak powiem, cudzym rozumem i dowcipem; całe ich bowiem zatrudnienie roznosić z salonu do salonu każdą nowinę, trafne słówko, i nieznaczącej osobie swój nadać pewne przez to znaczenie i wagę, że się otarła o jaką sławę narodową, lub miała szczęście z nią rozmawiać.

Zdarzyło się na jednym z takich wieczorów, że Brodziński znalazłszy się przypadkiem obok takiego jegomości, w roztargnieniu swoim, co mu się nierzadko zdarzało, wziął go za znakomitego badacza przyrody, i wszczął z nim poważną rozmowę o bogactwach kopalnych naszej ziemi. Mniemany naturalista, niechcąc się odrazu

zdradzić, że najmniejszego niema o rzeczy wyobrażenia, łatał swoje nicości ogólnikami, mieszał niekiedy wyrazy techniczne podsłuchane tu i owdzie na salonowych ekskursjach, nadymał się, lekcewazył dotychczasowe poszukiwania, a chcąc męczącej ciekawości poety kark skręcić, co chwila zwracał mowę do czegoś innego. Ale Brodziński uparty nakręcał zawsze do przedmiotu, tem bardziej, że mu po głowie snuła się jakaś myśl poetycka którą chciał ubrać w szczegóły i barwy wzięte z rzeczywistości. Większa część towarzystwa zajęta opowiadaniem jakiejś pani o ostatnim balu, niezwracała uwagi na tę scenę komiczną; dopiero gdy się przedmiot wyczerpał, a gospodyni postrzegła że Brodziński niebrał w ogólnej rozmowie udziału, i tylko we dwójkę z salonowym figurantem rozprawiał, pełne natężonej ciekawości zwróciła spojrzenie w jego stronę, jakby chciała powiedzieć: co nasz poeta może mieć wspólnego z tym pustym dzwoniem? Nieme jój zdziwienie i zapytanie, udzieliło się całemu gronu, które również ciekawym spojrzeniem oblało rozmawiających; ztąd powstała głucha ci-

sza i tylko dwa głosy słychać było w salonie. —

Brodziński wpadłszy na przedmiot o kopalniach Olkuskich, męczył swojego sąsiada zapytaniami o rozciągłość tych min, o ich obfitość, i czyli otrzymana korzyść wyrównywa kosztom i pracy? a gdy się właśnie uciszyło, najpoważniej zagadł go: chciej mię oświecić pan dobrodziej, czyli i w innych stronach naszego kraju wydobywano srebro: słyszałem bowiem że w Tatrach są miejsca jak *Stara Robota* i *dziewięta Bania*, które noszą ślady prac górniczych, i miały dostarczać dużo srebra?

—Tak, w rzeczy samej—odparł sąsiad stłumionym głosem—są ślady, domysły, ale zdaje się...

—Kochany poeto! zawoła pani L.—porzuć tę nudną rozprawę o górnictwie, którą męczysz swego sąsiada niemającego żadnej do górnictwa pretensyi; zapewne w roztargnieniu, wziąłeś pana Józefa, za jakiego naturalistę, i zarzucając go pytaniami, niepostrzegasz nawet żeś go w kłopot wprowadził. O już to nasz poeta nigdy się z roztargnienia nie wyléczy!....

—Przepraszam, przepraszam mego pana, za tę pomyłkę — rzekł Brodziński — wpatrując się w sąsiada, który chustką pot z czoła ocięrał — przekłete roztargnienie! przyznaję się, wziąłem pana za kogo innego....

—To ci się tak często trafia — wtrąciła gospodyni—że....

—Że się i gniewać niewarto—przerwał poeta —nieprawdaż szanowna przyjaciółko!

—O kótóży mógł się obrazić tém—dodała wyciągając doń rękę, co właśnie jest przymiotem duszy poetycznej, zajętej zawsze jakąś myślą wyższą, która z powszednością, co ją otacza, musi stanowić sprzeczność? Czyliż sławne roztargnienia Tadeusza Czackiego, Jana Potockiego, ujmują cokolwiek zasługom ich i sławie? Toż i twoje, panie Kazimierzu, nieidą na karb wady charakteru, ale owszem stanowią osobny urok, który cię tylko bardziej interesującym czyni.

—Mościa Dobrodziejko!—przerwał z uśmiechem Brodziński — na ten panegiryk niepozostaje mi, jak doskonalić się w roztargnieniu; dotąd przynajmniej starałem się odzwyczajać.



— O zostań już przyjacielu! takim, jakim cię znamy oddawna; choćy dla tego, że z tych miłych roztargnień wywiązują się niekiedy takie zajmujące sceny, jak owa, która, pamiętasz, przytrafiła ci się na popasie w Piotrkowie.

— Jakże to było? cóż to było? niewiemy— opowiedz nam pan! — ozwało się kilka kobiecych głosów.

— Piękna rzecz! zawołał Brodziński— niedość że śmieszności popełniam, ale jeszcze każecie mi być Homerem moich śmieszności.

— Niewyprosisz się! rzekła gospodyni— w razie twego oporu, ja sama tę przygodę opowiem, a opowiem może fałszywie, zwyczajnie jak wszystko, co pochodzi z drugiej ręki.

— Jeżeli taki jest wyrok wasz moje panie, — westchnął Brodziński, przybierając potulną minę ofiary, tedy opowiem moją przygodę piotrkowską, nie trybunałską, bo już trybunału nie było w Piotrkowie, ale po prostu przygodę w traktyerni.

— Słuchamy! słuchamy! —

— Wiecie zapewne państwo że jużto dla poratowania zdrowia, już aby cokolwiek zobaczyć

pięknego świata, a najbardziej, aby wolniej odetchnąć po tej dusznej atmosferze warszawskiej, która jak ołowiem ciężyła na mózgu, wybrałem się w r. 1825 do Włoch. Com w tej słonecznej krainie widział, co czułem, opowiadać niemyślę, bo to do rzeczy nie należy, a powtórę drukowane jest w moich listach umieszczonych w którejś gazecie. Ciekawych tam odsyłam, obecnych niechęć nudzić. Dość, że przewietrzywszy się na swobodzie, a któryż wojażer z paszportem i pieniędzmi i dobrą rekomendacją, nie jest wolnym za granicą jak ptak — wracałem do kraju, myślicie zapewne: smutny, ze spuszczonego uszyma, nito student wracający pod różgę pedagoga? — przeciwnie — raczej jak kochanek z wysuszonem sercem lecący do kochanki, który każdy krok co go zbliża do ubóstwionego przeomiotu liczy przedzielnymi uderzeniami pulsu. Powrót do rodzinnego gniazda, choćy to było smutne i ciemne jak grób, zawsze ma coś rozrzewniającego, i kojącego niepokój wewnętrzny jak uścisk matki. Przyznaję się w całej pokorze ducha, że jeżeli doznałem wrażeń na widok pięknego nieba Włoch,

jeżelim podziwiać to drugie niebo na ziemi w arcydziełach malarstwa, rzeźby, architektury, serce moje najmniej było tknięte. Jakaś niewypowiedziana tęsknota ogarnęła mię za naszym ubóstwem, prostotą, melaucholicznymi piaskami Mazowska, piosenką żniwiarzy; za tym powietrzem ostrém, za temi obłokami co w tak fantastyczne kształty malują nasz błękit — a najbardziej za tym kołem przyjaciół co rozumie i twoje nadzieje i radości i cierpienia... Kto wie, może to pochodziło z obrażonej dumy Polaka; widząc bowiem tych Włochów takich znikczemiałych obok wielkich pamiątek Rzymu, tak łakomych na grosz wśród bogactw sztuki i natury, a tak leniwych, kiedy pracą i energią życia, mogliby stać się królem narodów — myślałem sobie: zacóż moją biedną ziemię, upośledziły nieba? Przecież u nas cnoty rodzinne kwitną w całej prostocie patryarchalnej; wiara gorąca, miłość Boga i ludzi; święte uczucie obowiązku; samolubstwo nawet nie świeci jeszcze cyniczną nagością jak tutaj. A jednak wszystko tam macosze i niebo i dola! przekonanie o naszej lepszosci moralnej zbrzydziło

mi Włochy.... Kiedym się dość napatrzył, nadziei, nawzdychał i natęsknił, pędziłem jak jaki feldjeger z depeszami, aby tylko co prędzej ucałować tę ziemię, której garść jak relikwiarz miałem zaszytą w woreczku na piersiach; na przypadek śmierci w obcej stronie

Ktośby ojczystą ziemią zasuł mi powieki

Abym lżej z miłem słońcem rozstać się na wieki...

Pojmiecie kochane panie co mi się dzieć musiało kiedym już blisko granicy, na Szląsku, zobaczył brzozę, ten symbol dziewicy słowiańskiej; laury, cyprysy, oliwy, pomarańcze i cytryny, jakżeż to zimna proza w porównaniu z naszą brzożą w białej koszulce, z rozpuszczonemi na wiatr włosami! To jedno drzewko tłumaczy własności naszej ziemi; w niem się upostacił duch słowiański, w niem.... ależ, przebaczcie roztargnieniu! mam opowiedzieć anegdotę, a tymczasem rozprawiam o duchu poezji jakby na prelekcji....

—Prosimy o takie roztargnienie; jak najwięcej takiego roztargnienia! zawołały damy.

—A to wstyd dla mnie! mówił chwytając się za głowę — ja niegdyś profesor, zamiast pilnować

wątką rzeczy, bujam sobie, zapominając w moim romantycznym szale o starym Horacym: *Denique sit quodvis simplex duntaxat et unum.* — A to czyste nieszczęście! znowu wrywam się do pań z łaciną, jakbym prawił z katedry.

Tu odkrząknąwszy i poprawiwszy się na fotelu, zaczął wolnym głosem:

Teraz będę już ścisłym opowiadaczem; proszę mię tylko wstrzymywać ilekroć zboczyłbym z drogi dla jakiej brzozy, lub obłoczku. Otóż przejechawszy granicę naszą, ze zwykłemi nieprzyjemnościami paszportowemi, i nieprzyjemniejszą stycznością z celnikami, którzy ci spłoszą najśłodsze rojenia — stanąłem na popas w Piotrkowie. Wygłodzony na pruskiej kuchni, mającój ten przymiot, że najlepszą rzecz popsuje; niczem niepragnął jak dorwać się polskiego barszczu, którego zapach zaleciał mi zaraz na wstępie do kraju; przeto nieposzedłem oglądać osobliwości i zabytków trybunalskiego miasta, lubom wiedział że ich nie znajdę, tylko wprost kopnąłem się do porządnej oberży, którą mi na poczcie wskazano. Wchodzę — nadedrzwiemi wita

mię ogromna tablica z napisem *Restauracya, Billard*, i dwa kije na krzyż złożone. Dół, jak zwykle u nas obryzgany błotem i brudny, kazał mi się domyślać, że restauracya musi być na piętrze. Szerokie, wymyte wschody, tém bardziej mię utwierdziły w tém przypuszczeniu. W rzeczy samój, znalazłem bardzo porządny salon, nawet elegancki, bo miał białe firanki i woskowaną posadzkę, co się rzadko spotyka po domach zajezdnych na partykularzu. Stół pośrodku nakryty cienką i świeżą bielizną, talerze porcelanowe, sztuce i łyżki srebrne, nietylko powiększały mój apetyt, ale rodziły pewną dumę że i za granicą, tak chlubiącą się z swoich hoteli, porządniejszego nakrycia i zastawy mało gdzie znajdziesz. Zatarłszy ręce z wewnętrznego ukontentowania, zapytałem któregoś z kielnerów krzątających się około kredensu: czy prędko będzie obiad? —

— Za chwilkę; odpowiedział.

— Dobrze — tylko się spieszcie! — a chcąc tę chwilkę, zwykle dla głodnych długi jak wieczność, czemkolwiek zapełnić, porwałem na bli-

skim stoliku leżący plik gazet, i zasiadłszy na dobre do stołu, zacząłem wertować *Kuryjerka*, nieocenionego plotkarza, który zawsze ma ten przywilej, że i najzagorzalszy polityk, od niego rozpoczyna swoją lekturę.

Po niedługiej chwili stołownicy *table d'hote* zaczęli się schodzić, byli to sami wojskowi; niebawem wszedł przystojny, dobrej tuszy mężczyzna, przy szlifach jeneralskich — wszyscy oddali mu uszanowanie, ja także wstałem odpowiadając na grzeczny ukłon którym mię powitał; a widząc że się upragniona godzina obiadu zbliża, zadzwoniłem widelcem o szklankę, i zawołałem: *Garson*, dajno wódki!

Niepojmowałem dla czego, ale oczy obecnych zwróciły się na mnie jakby na raroga. Jenerał tylko, który ze mnie niespuszczał oka, pociągnął na bok tych panów i zaczął z nimi rozmowę po cichu. Podano mi wódkę, przekąskę; goście poszli za moim przykładem, aż też nakoniec i zupę wniesiono. Całe grono rzuciło się do stołu, obok mnie usiadł jenerał. Wszyscy musieli być z dobrym apetytem, bo przy zupie nikt słowa

nie pisał, dopiero przy pasztecikach, kiedy mi nalano kieliszek wina, usłyszałem powszechną przypowiadkę o dukacie doktorskim, zwróconą do sztabowego lekarza.

W tém, któryś z oficerów nalał sobie piwa; na co sąsiad odezwał się: widać że kapitan nie poeta,

Bo tylko przy winie  
Wiersz szczęśliwie płynie;  
A wiersze przy piwie  
Niepłyną szczęśliwie....

— Brawo! dowcipny wierszyk, aleś nie ty go skomponował poruczniku — odparł kapitan i uśmiechnął się znacząco do jenerała. Wreszcie, mówił dalej — acz wierszy nie składam, bo to do mego regulaminu nienależy, wiem jednak, że są różne rodzaje poetów, jedni klasycy, drudzy romantycy; ci ostatni ażeby się odróżnić od tamtego obozu mogą smakować w piwie. Dla czegożbym ja niemógł być sobie romantykiem?

— Tęgoś się odciął kapitanie! — zawołał poklaskując jenerał — masz słuszność, z ciebie prawdziwy romantyk, nie dla tego że pijesz piwo, ale żeś przez tyle awantur przechodził w legionach



włoskich i hiszpańskich, o jakich się ani śniło naszym romantikom co piszą o zaklętych księżniczках, zaczarowanych zamkach, awanturnicznych rycerzach; a piszą z kałamarna, nie zaś z tego co własnem życiem zdobyli.

— Prawdę mówi generał! ozwał się któryś z starszych wojskowych — nieraz pękam od śmiechu kiedy mi w rękę wpadnie jaka ballada; baby pod kądzielą takich dubów smolonych nie plotą jak ci panowie, co to szukają nadzwyczajności w gusłach i innych bredniach, w które nikt ze zdrowym umysłem niewierzy; wreszcie poco to szukać poezyi gdzieś w mgłach, księżycach, zwalonych zameczyskach, poco wywoływać duchy, kiedy przecież tyle pięknej i poruszającej poezyi snuje się między nami? Albo to nie romantyczny przedmiot: — wiatr niesie piosenkę z nadbrzegów Tybru, wieczorem przy księżycu brzmi ona w głuszy naszych siół jak śpiew niewidzialnych duchów; młodzieńcze serca stęsknione za życiem, za sławą, umieją ją dosłyszeć w najgłębszej ciszy; jaki taki wyprowadza po nocy konika ze stajni, przypasuje szablę ojcowską, i leci pod

obce nieba wywalczać jeżeli nie byt, to sławę... Piękna to epopeja jak druga Iliada odgrywana rycerskimi czyny pod gorącą strefą Włoch i Hiszpanii a kończąca się ogniem i mrozem w murach Moskwy, jakby ostatni akt ogromnego dramatu.... nad którym unosi się olbrzymia postać człowieka przeznaczeń podobna płomienistemu jeniuszowi wieku, lub starożytnemu fatum.... To mi poezya! poezya prawdy, poezya rzeczywistości, a nie chorowite banialuki kliwne i nudne jak lukrecya....

Z razu zajęty wyborym kawałkiem połudwicy słucałem, że tak powiem, pół uchem, tych marsowych estetyków, ale ostatnie wyrazy siedzącego naprzeciw mnie oficera, szpakowatego, acz czerstwego wiarusa z krzyżem legii honorowej, uderzyły mię trafnością swoją, że mimowolnie wypadł mi widelec z ręki, i pokusa wzięła wmięszać się do rozmowy; jakoż odezwałem się: Zdanie pańskie, pogodziłby powinno klasyków z romantykami, przenosząc poezję na najwłaściwsze, bo narodowe pole; poezya bowiem nie wpleciona w życie narodu, w jego uczucia, myśli, cierpienia, sny i nadzieje, będzie zawsze

tylko igraszka, sztuką dla sztuki, i odgłosu nie znajdzie..... Wszelako młodych apostołów romantyzmu potępiać nie należy; oni to przygotowują ścieszki wieszczowi narodu, który kiedyś się zjawi.

Skończyłem — w sali stała się głucha cisza... jużem był zły na siebie że ten wyskok mój uciął powszechną rozmowę, gdy generał z największą flegmą kończąc kieliszek wina, odezwał się jakby podejmując ostatnie słowa, którem wyrzekł: Kto wie, taki wieszcz może się i zjawić? Jeżeli w poecie ma się odbić żywot i uczucia narodu — mój poeta żył z ludem naszym i wie co mu tam w duchu gra; mój poeta szablą pisał dzieje, walczył w śniegach Moskwy i na polach Lipska. Żołnierz — poeta czynu; kochanek wsi i ludu — poeta uczuć. To powiedziawszy, spojrzął na mnie jakby z pod oka.

— Kogóż generał rozumie? zapytało kilku wojskowych....

— Zgadnijcie panowie!

— Jenerale! przerwał z przymileniem młody oficerek — niech to z méj strony niebędzie pochlebstwem — ale....

— Już wiem gdzie mierzysz — pochwyć prędko generał — alebyś spudłował. Czyż to panowie, niedomyślacie się, że mówię o bracie po mieczu, o słodkim autorze *Wiesława*? Alboż to nie umiecie jego Legionisty:

Żelazną zasłynieły potęgą Rzymiany  
Miecz zdobywał ich kraje, trzymały kajdany  
U nas pługiem żelazo, złotem były kłosa itd.

— Ach znamy! znamy! krzyknęli współbiednicy — to nasz pan Kazimierz, nasz polski wieszcz!

Przyznaję się wam moje panie, że zrazu zajęty tą rozprawą o klasycyzmie i romantyzmie, nie przewidywałem, że cała ta pogadanka taki obrót weźmie — ale kiedy nagle osoba moja stała się przedmiotem pochwał, kiedy ten i ów zaczął przypominać sobie różne wiersze, jakimkolwiek napisał.... wszystka krew buchnęła mi do głowy.... czułem, że się zaczerwieniłem jak student — ażeby ukryć pomieszanie tonąłem twarzą w talerzu, na którym męczyłem kawałek ryby.... ale darmo! coraz bardziej dojmowali to pochwałami, to pełną zapafu deklamacją moich

rymów — niemógłem wytrzymać; rozrzewnienie, wdzięczność, wstyd może fałszywy, tak mi zmięczyły serce, że tylko co miałem rozpłakać się w głoś, jak dziecko.... już nawet dwie duże łzy stanęły w powiekach — alem otarł je serwetą, i nagle zrywając się od stołu, tłumaczę się że dylizans na poczcie odchodzi — wołam garsona, chcę płacić za obiad — garson ręce trzyma w kieszeni, i uśmiecha się odwracając głowę.

— Cóż to znaczy? pytam — wieleż się należy?

Garson znowu się uśmiecha i głowę odwraca.

— Ależ mój kochany, mnie spieszno na pocztę.

I kiedy się tak certuję przy drzwiach — cóż widzę? Oto generał i wszyscy oficerowie otaczają mnie. Każdy z kielichem wina; służący stoi przedemną i kielich nalany podaje mi na tacy....

— Szanowny gościu! odzywa się generał biorąc mnie za rękę — staropolskim zwyczajem trzeba wypić na wsiadaném.... A teraz moi panowie! obracając się do wojskowych — duszkiem! *Za szczęśliwy powrót ukochanego wieszczą — żołnierza do kraju.*

— Niech żyje! powtórzyli chórem....

Teraz dopiero zrozumiałem że niebył w traktyerni; — chciałem się tłumaczyć generałowi z mego roztargnienia; ale on biorąc mnie w ramiona; zawołał: błogosławiona pomyłka, która mi zesłała tak pożądanego gościa! Jeżeli nasza biedna ziemia ani bogactwem sztuki, ani cudami natury niewyrównywa boskiej Italii, niechże przynajmniej jedną cnotą, staropolską gościnnością przewyższyć się nieda....

Ze łzami pożegnałem pocziwych wiarusów. Kto był generał? domyśliłem się łatwo, jak i państwo się domyślicie — oto, brat po lutni i mieczu, wieszcz — żołnierz: Franciszek Morawski!

Brodziński skończył swoje opowiadanie, a całe grono dziękowało mu, i unosiło się nad tym pięknym ustępem jego życia.

— Panie to nazywacie pięknym, poetycznym ustępem — ozwał się po chwili Brodziński — co ja nazywam, chwilą czyscowej męki. Piekroć wspomnę, co się niedziało z moją biedną figurą, kiedy musiała słuchać własnych pochwał, własnych wierszy, panegiryków (była to bowiem ukartowana scena) — to jeszcze mnie dreszcz przechodzi, i krew do

twarży uderza... całą karafkę wody wypić, i pąs z czoła nie chciał ustąpić... Oj, napiekłem że raków! Ta nauczka uleczyła mnie podobnoś na zawsze z tej nieznośnej dystrakcyi!

—Ha! ha! ha! zawołała gospodyni śmiejąc się, zdaje się że doza musiała być za słabą; przecież niema i półgodziny, jak dałeś nam dowód doskonałej dystrakcyi. Roztargnienie jest rysem, częścią twojej istoty — bez roztargnienia niemożliwym cię poznać, czyś ten sam, czy kto inny. Przypomnijże sobie jak przy wisku niecierpliwisz zawsze mojego męża gdy zamiast odgrywać na jego *inwit* matematycznie wyrachowany, patrzysz w górę—on pewny że myślisz o zadaniu *atu*, ty zaś sobie powtarzasz pół-głosem wiersze z *Rocznicy* \*)... A dawnoż to, kiedy pani Natalia w swoim salonie śpiewała *Ave Maria*—przeże-

\*) *Rocznica* — poemat ten napisał Brodziński w 1832 roku. Poeta wystawia Warszawę płonącą illuminacją z powodu rocznicy 8 września, i ożywioną natłokiem pojazdów pędzących na bal do zamku; tymczasem skromna łódka przemyka się Wisłą do Olszynki, gdzie kilka wdów i sierot, także tę rocznicę obchodzi w inny sposób; piękny ten utwór czasby wydobyć z ukrycia.

gnałeś się i złożyłeś ręce do pacierza, myśląc żeś w kościele? A na tymże wielkim obiedzie danym dla pana u hrabiny W... gdy ci gospodyni rękę podawała do stołu, nieściskałeś ją po angielsku, a przystąpiwszy do mnie nie rzekłeś: my sobie po dawniej znajomości razem pójdziemy!... A znowu, na przechadzce....

—Nielitościwy mój cenzorze!—przerwał Brodziński składając błagająco ręce — pofolguj! pofolguj! To coś zakrawa na dłuższy rejestr grzechów przeciw tak nazwanym *usages du monde*, niż rejestr *Leporella*! protestuję—jeszcze raz protestuję: to nie są żadne dystrakcyje, bo z nich się dawno uleczyłem—ale po prostu moja wieśniacza nieznajomość tych wszystkich waszych form i ceregielów światowych!—



## WIAZANKA KONWALII.

Jeżeli niema nic nudniejszego, nad tak zwane wieczory literackie, przypadające regularnie w pewne dni tygodnia, na które każdy z obowiązku przynosi dowcipy naprzód ułożone, anegdoty odgrzane; tedy znowu niespodziewane, przypadkowe zejście się kilku osób pod godłem jakiegoś tkliwego uczucia tworzy najprzyjemniejszą pogadankę. W czémże ten urok? oto w sympatyczném kółku, w swobodnej atmosferze; — gdzie niema już gry o pierwszeństwo, miłość własna nie sady się, ani obraża, bo tam wyższa miłość dając ton i harmonię umie tak upoetyzować tę chwilę, że ci zostanie na całe życie w pamięci, podobna promykowi złotemu, podobna tym unieśmiertelnionym przez poetę wieczorom z Laurą lub Marylą.

Taki właśnie był wieczór w domu pani L..... w Warszawie.

— Brodziński wyjeżdża jutro do Drezna; cierpiący i smutny, chciałby pożegnać przyjaciół i przyjaciółki swoje! Zebranie w domu pani L...

To hasło podano sobie jednego dnia, na wiosnę w r. 1835. Hasło obleciało przyjaciół i przyjaciółki; i żałośnie obito się o serca dalszych znajomych, i wielbicieli poety. I ledwo wieczór się zaczął, już kilkanaście kobiet i kilku mężczyzn napędziło pokój bawialny. Nie zgiełkliwa, ale cicha, szeptana rozmowa toczyła się między zebranymi gośćmi, jakby miejsce to uszanować chciano wprzód, nim się zjawił przedmiot powszechnego szacunku i cześci. — A rozmowa ta — gdybyś ją był podsłuchał — niesadziła się ani w dowcipy, ani w szumne deklamacye, ani w dobór słów — serca tam rozmawiały, serca kobiet, które umieją wszystko zgadywać, i dostrzegać najskrytszy ból aby go ukoić.

Przysuńmy się do téj kanapki w samym kąciuku — tam rozmawiają dwie kuzynki, siostra Jenerała K. i wdowa po tym Jenerale. W oczach ich widać smętną radość, uśmiech z łzą pomieszany. Założyłbym się, że roją jakiś czyn szlachetny; czy-

jaś smutna dola ściska im serce, a one — anioły pocieszenia, radeby przechylić cierpiącemu całe niebo, okupione własną ofiarą.

— Praca, to jego fundusz na utrzymanie życia, mówiła jedna z dam — a przy starganém zdrowiu, czyż może pracować? Wreszcie, grosz jaki ma, pochłoną zagraniczni lekarze... Czy wiesz Natalio jaka myśl mi przychodzi?

— Droga Tereniu! ta sama myśl i mnie trapi. Cóż pocznie jego żona i to dziecię? Jeszcze broń Boże! jakiego niszczęścia...

— Tego ja się też najmocniej obawiam, a prawie przeczuwam, że to nastąpi... Uważałaś, jak zmieniony: te oczy zapadłe, a świecące, ten nienaturalny rumieniec.... Spójrzij w tę smętną twarz, a wyczytasz, że wewnątrz trawia go nie tylko troski powszednie, ale i inne głębsze, które nas wszystkich obchodzą. Na te ostatnie niema lekarstwa, ale tamte czyżbyśmy osłodzić niemogły?

— Wydzierasz mi tajemnicę moją... Jego żona, póki zdrów niewróci, niech będzie siostrą naszą, a jego Karolinka, dzieckiem naszym — przydała Natalia.

I, kiedy miały rozwijać plan dobroczynny, wynaleść środki delikatne niewidomój opieki — szmer wszczął się w przedpokoju — gospodyni, a z nią całe grono powstało, na przyjęcie świeżo przybyłych gości.

Był to właśnie Brodziński z żoną i dzieckiem. Postać jego szczupła, schylona, cera blada, głos słaby, przerywany suchym kaszlem, i ta dziwna jakaś tęsknota i słodycz w wejrzeniu, przejęły serca obecnych mimowolnym przecuciem, że to już może ostatni wieczór, który przepędzi na ziemi oczysztej wśród swoich.

Kobiety natychmiast otoczyły śpiewaka Wiesława, a posadziwszy między sobą, usiłowały to żarcikami, to przymileniami rozpędzić tę chmurę smutku i tajemnych przecuć, któremi jakby mgłą jaką osłoniła się cała jego postać. Odgadując wewnętrzny stan duszy Brodzińskiego z słów które wyrzekł: przychodzę pożegnać się, bodajby nie na zawsze! nieszczęśliwy słodkiej pociechy:

— Jeszcze pan wszystkich nas przetrzyma — mówiła jedna.

— Osoby wątlęj budowy ciała najdłużej żyją — wtrąciła druga.

— Pewna jestem, że na jesień powrócisz zdrów i wesoły — zapraszam pana na wieś; mąż mój lubi polowanie; sąsiedztwo mamy wyborne; wiejskie powietrze rozproszy smutki....

— Pani! — odezwał się Brodziński, żałośnie wstrząsając głową — gdybym wiedział, że smutki moje z wiatrami ulecą, dawno bym je wiatrom powierzył — ale one jak pijawki wiszą przy sercu, i piją krew moją — aż ją wypiją...

— Takie myśli są zwykle skutkiem nadwątlonego zdrowia — rzekła gospodyni — zdrowie wróci — smutki ulecą...

— Czemuż nieulatywały, kiedy byłem rzeski i młody? — zawołał z westchnieniem. — O gdybyście znały cały bieg mojego żywota! — czy uwierzycie? od samój prawie kolebki nic mi się nieuśmiechało.... bo to, co mogło mi dać szczęście, wesele, swobodę, miłość życia, to mię odbiegło w chwili, gdym pierwsze kroki stawiał po ziemi — w piątym roku odumarła mię matka; jeszcze ją dziś pamiętam złożoną w trumnie, jeszcze dziś

brzmi w uszach moich przepowiednia księdza: będzie cię biła macocha! I macocha biła i odpychała od siebie... a jam tulił się do chłopków, szukając tam czegoś, coby mi choć w części zastąpiło macierzyńskie uczucie.... ale darmo! i wiejska prostota i poczciwość wieśniacza matki niezastąpi. W snach tylko o niej, znalazłem urojone szczęście. Jeden z takich snów, jaki miałem w dzieciństwie, dotąd tkwi w mej pamięci. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim była złożona w trumnie, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściłki jej dziwną mię upoiły rozkoszą; gdy nagle, ogromny głos od ołtarza: *requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. Odtąd, widuję mglistą jej postać, osobliwie gdy jakiś smutek dojmuje — białą ręką wabi mię — rzucam się w objęcie, dzy puszcza ją się z oczu — a gdy się zbudzę, o prawdzie łez świadczy zwilżona poduszka.... Niewiem czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nademnie, co jest matka. Wiele samotnych,

nikomu nieznanym łożem mię kosztowało, gdy widział dziecię od matki pocałowane. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej niedoświadczyłem. Niemiec matki, która jedynie wychowanie serca dać może, niemiec istoty przed którąby się można szczerze, z wszystkimi dziecinnymi fraszkami, z owymi pierwszymi uczuciami wywnętrzyc, jedno jest, co być skazanym na ciągłą mękę, na tęsknotę trawiącą, której niczem niemożna rozpędzić, ani gdy w natchnieniach poetycznych szukał ochłody i czaru, ani gdy w zawód wojskowy wstąpił; po morderczych dniach Smoleńska, Możajska, przypadłszy snem do skrwawionej ziemi, jeszcze snił o matce, i widział tę białą rękę wabiącą mię, i tę pierś przy której mógł się wypłakać....

Na ten tak prosty a rzewny obraz cierpień poety nieśmiały nikt, nawet z najprzychylniejszych mu osób, odezwać się słowem pociechy; kobiety, z których niejedna była matką, pospuszczały głowy, lub zakrywając oczy chustkami ocierały łzę wyściśniętą opowiadaniem. Ale Brodziński spojrze-

wszy po otaczającym go gronie, a widząc jakie wzruszenie sprawił mimowolnie, uśmiechnął się, z tęsknego głosu, przeszedł w żywy, weselszy, niby lepszy ton, i biorąc rękę żony, a dziecko tułac do piersi, tak mówił:

Darujcie mi moje przyjaciółki! za ten wyskok poetyczno-sentymentalny; dajcie mię za to popisywanie się z uczuciami, boleściami, tęsknotą, melancholią, jakby którego z tych zapoznanych bajrońskich młodzieńców, co to koniecznie pragną, aby cały świat rozczulał się nad nimi. Wierzcie mi, tylko egoizm wieku przezemnie tak gada. Możecie mi nawet zaraz fałsz zadać; bo kto ma taką poczciwą, kochającą żonę, kto dziecię potrzebujące całej pieczy ojcowskiej, kto tylu dobrych i zacnych przyjaciół, ten nie powinien uzalać się na brak miłości — i jeżeli matkę stracił, otoczył go wieniec nowych, najśłodszych obowiązków ojca, męża, przyjaciela.... Był to tylko napad chwilowy, nawyknięcie z dawnych lat sieroctwa, nieprzystojne dla kogoś, co powinien mieć charakter i energię męża. Otóż na przekór muszę żyć, muszę być



zdrów, dla żony, dla Karolinki mojej i dla was drodzy przyjaciele...

— I dla ziomków — przerwała jedna z kobiet z żywością — tyś dla nich gwiazdą, przewodnikiem. — Twoja myśl, twoje słowo, to nasze ojczyste skarby. Tyś zaczął prowadzić młode plemie ku głębszym pojęciom, tyś mu otworzył świeże źródła poezji w piosnce wieśniaczej; tyś wykrył, że duch narodu się tai, nie w swawoli, nie w rospuszcie, nie w pogardzie religii i obyczaju, ale w gorącej, prostej pobożności, w surowych enotach, w zamiłowaniu tego, co piękne i wniosłe. O zacny przyjacielu! niepoddawaj się smutkom, ani zwątpieniu! wszystkie, jak tu jesteśmy, gorąco będziemy się modlić za zdrowie twoje, i szczęśliwy powrót do tej sieroty, Warszawy; a zobaczysz, że Pan Bóg prósb matek i Polek wysłucha...

— Wysłucha! wysłucha! — mówił Brodziński z najżywszym wzruszeniem, ściskając ręce, które mu całe grono podało. — Do zobaczenia! do szczęśliwego zobaczenia! na jesień, w tym samym pokoju...

— Czekamy pana! Czekamy — każda z nas,

bądź pewien, stawi się na termin... Będzie to uroczystość familijna...

— Nieuwierzycie, jak mi trudno rozłączać się z wami... Prawdę tego wierszyka napisanego przezemnie kiedyś, dawno, czuję dopiero teraz.

Każde smutne  
Przeznaczenie  
Nasze na świecie;  
Najsmutniejsze jednak przecie  
Jest okrutne  
Rozłączenie!.....

Żeby jednak rozłączenie mniej było okrutne, niech aby woń mego ulubionego kwiatka przypomina nam stosunek nasz wzajemny...

To rzekłszy, wyjął z kapelusza sporą wiązanke konwalii. Wdzięczny zapach rozszedł się po pokoju, zapach, co tyle ma podobieństwa z jego piosnkami, prostemi a pełnemi tkliwości.

— Jaki traf szczęśliwy! Idąc tu, spotkałem kwieciarkę znajomą mi, która wiedząc, jak lubię konwalię, ofiarowała mi całą wiązanke w upominku. Niemogła mi zrobić większej przysługi -- pamiątkę ostatniego wieczora zostawię w ulubionym

kwiatku, a jeżeli Bóg wrócić pozwoli, pokazemy sobie ten zadatek przyjaźni...

I powiedziawszy to, zwrócił się naprzód do gospodyni domu i ofiarował jej kilka gałązek, potem generałowej S., pani P., pannie Teresie i Natalii K... i innym damom, i mężczyznom, a nakoniec kiedy mu tylko ostatnie dwa kwiatki zostały, wysunęło się z kącika dwoje dziewczątek, przeslicznych jak anioły, które przybliżając się do niego z wdzięcznym a nieśmiałym uśmiechem, rzekły:

— A o nas pan zapomniał? wszak i my go kochamy!...

— O moje drogie aniołki! — zawołał rozczulony Brodziński — przyjmcie te ostatnie gałązki — oby woniały wam tak długo, jak poezja waszej młodości wonić wam będzie w późnej dobie trosk i kłopotów życia! Pewny jestem, że świeża wasza pamięć przechowuje wspomnienie o mnie, i nieuschnie razem z tym kwiatkiem. — Ale oto, z mojej wiązanki nie mi niezostało — tu pokazał próżne dłonie — kwiat jest symbolem życia: lubi słońce i wiosnę; cóżby miał robić przy piersi, którą niebawem śmierć lodem swym zetnie?... Dziewczęta

wiją trawkę w wianuszki i wróżą sobie kochanków; mnie konwalia wywróżyła także.... W jesieni wszystkie gałązki znajdują się, mojej tylko niebędzie...

— Czy podobna dopuszczać tak czarne myśli! — zawołała pani L. — przecież każda z nas dostała pęk konwalii, możemy się z panem nawzajem podzielić.

I w mgnieniu oka każda z dam ofiarowała mu gałązkę z swego bukietu, i znowu śpiewak Wiesława trzymał sporą wiązanekę.

— Jakąż teraz wróżbę wyciągniesz pan z tego bukietu? — zapytała generałowa żartobliwie.

— Najpomysłniejszą — odparł weselszy już Brodziński — wasze życzenia i modły wyjednają mi to u Boga, czego wątpiła natura odmawia. Bądź co bądź, kwiaty te z ojczyściej ziemi, przypomną mi ją, jeżeli przyjdzie na obcej umrzeć.

To rzekłszy przycisnął je do piersi, a podawszy ręce obecnemu gronu pożegnał się, unikając rozrzewnienia, w milczeniu a prędko — i wyszedł w towarzystwie żony i małżonki Karolinki.

Nazajutrz powozem pocztowym jechał do Drezna.

\* \* \*

Tegoż samego roku, w jesieni, w jednym z hotelów drezdeńskich, dogorywał śpiewak Wiesława. Choroba piersiowa rozwinięta w najwyższym stopniu, stargała w nim wszystkie siły żywotne. Z południa przyszedł jeszcze zwykły jego lekarz, wziął za puls — przepisał lekarstwo, jakieś obojętne — a odchodząc powiedział przyjacielowi, który nad chorym czuwał, Edwardowi Odyńcowi, także bratu po lutni — nasz chory dziś w wieczór skończy! a powiedział zimno, obojętnie, jak się mówi: dziś wieczór przyjdę do ciebie na herbatę...

Edward wrócił do łóżka, twarz jego musiała być mocno zmienioną z powodu słów doktora, bo Kazimierz wyciągnął doń wyschłą rękę, i zapytał: co ci jest przyjacielu?

— Niedobrze mi się zrobiło — odpowiedział z niejakim kłopotem — ale to przejdzie.... tu musi być za gorąco....

— Nieukrywaj przedemną — rzekł chory — niewczesna to ostrożność. Doktor powiedział ci, że przed wieczorem umrę... Dziś mamy 10go października, rocznica urodzin mojej córki... dziwny

traf! ze śmierci rodzi się życie; na grobie ojca kwiat w dziecięciu rozkwita... Tu mu tchu zabrakło i umilkł; ale po chwili, zbudzony jak ze snu, znowu zaczął:... Prędzej czy później, zawsze potrzeba skończyć.. Dzięki niebu za jedną łaskę! wczorajszy list żony dodał mi odwagi do tej zagrobnej wędrówki; lekko umrę, bo mam to przekonanie, że te anioły — Teresa i Natalia — będą pociechą i opieką mojej biednej żony i dziecka...

Edward usiadował, walcząc ze wzruszeniem, nasuwać mu kojące myśli, wpajać ufność w nieograniczoną moc boską, która go może jeszcze przy życiu zachować — ale Kazimierz, kiwając ręką, jakby odpychał złudną pociechę, rzekł z uśmiechem nadzwyczajnej słodyczy:

— Dzisiejszy sen nad rankiem zwiastował mi, że się z matką połączę... był on inny jak te, co nieraz w ciągu życia miewałem: wyobraź sobie: wśród wielkiej jasności, w białej szacie Zbawiciel mi się okazał, uśmiechał się tak bosko, tak łagodnie, a potem rękę ku mnie wyciągnął... i ja podleciałem jak małe ptaszko do piersi mej matki, która mię huśtając, śpiewała: otoś mi wrócony mój

synku... O! takie sny niemyła — wszystko w nich jest jakby się odbywało na jawie... — Po tych słowach, półgłosem zaczął odmawiać modlitwę, która coraz cichła jak odalający się szmer powiewu po zeschniętych trawach stepowych. Zdawało się, że usnął, że skończył, bo niesłychać oddechu..... dopiero po półgodzinnym spoczynku, wzdrygnął się, wielkie oczy otworzył, potoczył niemi i jakby w malignie mówił urywane wyrazy: — gdzie mój bukiet?... miła pamiątka... połóżcie mi go na pierśsiach; choć tak dawno zerwany, jaki świeży, jaka woń konwalii...

Edward niemogąc sobie wytłumaczyć tych wyrazów, zapytał go: czego żąda?... Lecz chory niedawał odpowiedzi — już ducha wyzionął!

Po śmierci i pogrzebie przerzucając jego papiery, znalazł zeschniętych kilka gałązek konwali, i domyślił się, że Kazimierz pragnął tę pamiątkę unieść z sobą do grobu.

## PO ŚMIERCI.

Spiewak Wiesława położył się w obcej ziemi; grobowiec jego może oglądać ziomek szanujący drogą pamięć poety na smętarzu drezdeńskim.... Ta myśl, że nie ukochanej Polsce odda swoje popioły, musiała mu w ostatniej godzinie upaść na duszę, jak kropla trucizny, i przyspieszyć koniec gorzkiego żywota....

Bo choć uboga, nieżyzna —

Twoja to przecie Ojczyzna....

Obok tych uczuć tak rzewnych, tak synowskich, dla rodzinnej ziemi — był on prawdziwym na nią wygnańcem; z pieczęcią smutku na czole przebiegł krótkie lata, i szczęśliwy, dostał się nakoniec do tej niebieskiej ojczyzny, gdzie go czekała pogoda, wesele, miłość, gdzie duch ujrzał się w swobodzie nieskończoności... gdzie wreszcie mógł znaleźć za-



pomnienie piołunnych dni ziemskich... Ale dusza słowiańska, nawet za granicami grobu niezbędzie się swojej wiary, swego stosunku z ziemią; niema dla niej letejskiej wody, i on pewnie nie czerpał w zdroju zapomnienia, bo Słowianin wierzył i śpiewał:

..... dusza gdy z ciała uleci

Ptasie odzieje piórka, na gałązce siedzie

I nad grobem pieśń dawną przyśpiewywać będzie...

W piosnkach gminnych przylatuje nadedniem kukułka i puka dziobem w okienko — to nieboszczka matka nawiedzająca sierotki swoje... dziatki to słyszą, rozumieją i modlą się za matką.... a zły opiekun lub macocha, drży na łożu śmiertelną dreszczą i uczuwa zgryzoty sumienia....

Kazimierz zostawił także sierotkę na ziemi.. Zapewne nieraz ptaszczęciem musiał zlatywać z górnych nieb, nieraz usiadać na gałązce i piosneczkę nucić, ale nie złej wróżby — tylko piosneczkę wesela — bo też jego sierotce dobrze było.... Jeżeli w godzinie skonania uczuł się spokojnym o los córki, mając zapewnioną sobie opiekę dwóch aniołów, jak je nazywał, Natalii i Teresy, tedy później, dusza jego zapewne doznała błogiego spokoju, patrząc

z wysoka na chowającą się Karolinę w zdrowiu i szczęściu.

Aczkolwiek zbieg okoliczności niedozwolił, aby córka Kazimierza chowała się pod okiem dwóch jego przyjaciółek — przenikliwość serca pozostałej matki, umiała obmyśleć dziecku swojemu bezpieczną przyszłość. Dla tej wątłej latorośli zrodzonej z rodziców dotkniętych chorobą piersiową potrzeba było opiekuna słynnego zarówno biegłością w sztuce lekarskiej, jak niezachwianą prawością i szlachetnością uczuć. Wdowa po Brodzińskim od lat wielu cierpiąca, ledwie kilka miesięcy przeżyła męża. Niewspominając nigdy za życia w czyje ręce pragnęłaby powierzyć swoje dziecko, napisała przed śmiercią słów kilka do doktora M. zwierzając mu swój jedyny skarb. List ten, a raczej świstek, znaleziony po jej zgonie, był wszakże dla tego zacnego człowieka uroczystym objawieniem woli nieboszczki. Od tej chwili do licznej jego rodziny przybyła jedna córka więcej. Któż z uczęszczających do tego domu, niewidział ze wzruszeniem jak sierota po śpiewaku Wiesława znalazła drugich rodziców w czułych i zabiegłych

staraniach doktora i jego żony! Ażeby dać wyobrażenie w jaki sposób oboje spełniali święty obowiązek opieki, dość przytoczyć dwa następujące rysy:

W dniu zamełcia swego, zajmująca pupilla odebrała z rąk opiekuna, w trójnasób powiększoną, pozostawioną jej przez matkę i wuja spuściznę pieniężną, albowiem ze składanych procentów, niepotrącano najmniejszej części na wychowanie, ani na staranną edukację, słowem na całe, jak najprzyzwoitsze wychowanie. — Przybrana matka sieroty w jednym tylko przedmiocie chciała ją odróżnić od swych własnych dzieci — a to w nauce religii, której wspólnie z Karolinką pobierać nie mogły; wyznania ich były różne. Troskliwa opiekunka, acz szczerze do swego wyznania przywiązana, niczego wszakże niezaniebądała, co mogło ugruntować zasady religii katolicko-rzymskiej, w sercu córki religijnego wieszca. Najznakomitsi nauką, pobożnością i cnotą duchowni wzywani byli do udzielenia jej prawd Świętej naszej wiary.

Ciesz się cieniu Brodzińskiego! Bóg wynagrodził gorycze twego sieroctwa, w błogiem sieroctwie twój córki.

106513

79.848

£

PL 253

31/5/63

20

Misrulek Teofil

